

SEWERYN GOSZCZYŃSKI

KRÓL ZAMCZYSKA

OPRACOWAŁ

JÓZEF TRETIAK

PROF. UNIW. JAGIELL.

KRAKÓW
NAKŁADEM KRAKOWSKIEJ SPÓŁNICY



1973

WSTĘP

Seweryn Goszczyński zostawił po sobie dwa dzieła, w których w całej pełni rozbłysnął jego talent poetycki, nawskróś epicki, i które go stawiają w szeregu pierwszorzędnych poetów naszych z romantycznego okresu. Są to *Zamek Kaniowski* i *Król Zamczyńska*.

Ale poza tą ogólną wspólnością dzieła te pod innemi względami są wcale niepodobne do siebie. Pierwszy utwór pisany wierszem, drugi — prozą. Pierwszy, wydany w r. 1828, jest owocem młodszej, wręcz, rewolucyjnie nastrojonej duszy poety, drugi — pisany w r. 1840, pochodzi z tego okresu jego życia, kiedy poeta daleko trzeźwiej spoglądał na swoją przeszłość rewolucyjną i dojrzał do przełomu duchowego, jaki w nim niebawem miał nastąpić. Wielka różnica wreszcie zachodzi pomiędzy temi utworami pod względem wrażenia, jakie one zostawiają po sobie: wprawdzie jest ono i tu i tam bardzo silne, ale w pierwszym utworze dusza czytelnika, mocą potężnych, ale dzikich obrazów, jest brana czasem na tortury; w drugim — nic nie mać spokoju harmonijnego, z jakim poeta tworzył swoje dzieło, a który udziela się czytelnikowi.

ŻYCIE I TWÓRCZOŚĆ LITERACKA GOSZCZYŃSKIEGO

Młodzięczy okres życia poety aż do ukazania się jego *Zamku Kaniowskiego*, t. j. do r. 1828, przedstawiłem dość szczegółowo we *Wstępie* do wydania tego poematu w *Bibliotece Narodowej* (Nr. 44), tu więc zamknę go w ogólnych tylko rysach, natomiast obszerniej i dokładniej przedstawię jego dzieje po rewolucji listopadowej, mianowicie dziesięcioletni okres jego życia, poprzedzający wydanie *Króla Zamczyjska* (1842).

Seweryn Goszczyński, syn oficjalisty w wielkich dobrach Sanguszki, a przedtem żołnierza, który w roku 1792 służył pod Kościuszką, pochodził z ubogiej rodziny szlacheckiej, a przyszedł na świat w miasteczku Ilińcach na Ukrainie pod koniec 1801 roku, był więc o parę miesięcy tylko starszym od Bohdana Zaleskiego, a o trzy lata od Michała Grabowskiego, z którymi kolegował przez lat kilka na ławach gimnazjum humańskiego, a serdeczny stosunek, jaki wówczas z nimi zawiązał, odegrał wielką i dodatnią rolę w jego życiu i w rozwoju jego talentu. W obcowaniu z nimi, szczególnie w obcowaniu z Bohdanem Zaleskim, rozwinęło się w nim zamiłowanie w poezji; od nich, którzy górowali nad nim kulturą umysłową, wyniesioną z domowego otoczenia, otrzymał popęd do samokształcenia się. Co się tyczy rewolucyjnych zapędów i konspiracyjskich zamysłów, które się bardzo wczesnie zaczęły w nim objawiać, znajdując sprzyjające dla siebie podłoże w gwałtownym, wybuchowym temperamencie poety, tych nasiona chwycił nie od owych kolegów, ale z po-

wietrza współczesnego, liberalizmem przesiąkniętego, które się dostawało do niego przedewszystkiem za pośrednictwem gazet politycznych warszawskich. Warszawa też go zwabiła ku sobie, gdy porzuciwszy, wskutek zatargów z władzą szkolną, gimnazjum humańskie, oglądał się za miejscem dalszego kształcenia się, i on to niewątpliwie pociągnął tam za sobą kolegę i przyjaciela, Zaleskiego.

W Warszawie zaraz rozpoczął życie konspiracyjne, przystępując do związku *Wolnych Polaków*, ale radość, jakiej doznawał w poczuciu należenia do tego spisku, niedługo trwała. Bieda i prześladowania policyjne, które ściągnął na siebie ów związek, zmusiły Goszczyńskiego bardzo prędko do opuszczenia Warszawy. Było to podczas wojny greckiej, kiedy sympatje całej liberalnej Europy zwracały się w stronę Greków, dobijających się wolności. Goszczyński, nie widząc narażenie dla siebie żadnego pola do działania politycznego w kraju, postanowił udać się do Grecji, aby tam walczyć w szeregach powstańców. Ale łatwiej było powziąć taki zamiar, niż go wykonać. Zamiast w Grecji, znalazł się znowu na Ukrainie w okolicach Humania, i tu spędził lat kilka w najsmutniejszych warunkach, rojąc o utworzeniu »bandy patryjotycznej«, ukrywając się przed policją, patrząc na biedę, która gniołła jego rodziców, i wylewając żółć na panujący porządek rzeczy w potoku liryków w rodzaju sławnej *Uczty zemsty*, która królom, księżom i arystokratom groziła sztyletami, a jak sam powiada w swoich zapiskach pamiętnikowych, jeszcze »nie była najkrwawszą«.

Z tego smutnego położenia wywiedli Goszczyń-

skiego zamożni koledzy humańscy, Jan Krechowiecki i Michał Grabowski. Przyciągnęli poetę do swoich domów, otoczyli opieką, dali mu możność wolnej od wszelkich trosk pracy poetyckiej, i w ich to dworach wiejskich, w Leszczynówce i Aleksandrówce, pisany był i ukończony *Zamek Kaniowski* Goszczyńskiego, który wydany niebawem ich kosztem w Warszawie (1828), a wysoko w krytyce Mochnackiego podniesiony, stał się podwaliną poetyckiej sławy Goszczyńskiego.

Powodzenie, jakiego doznał *Zamek Kaniowski*, zachęcało Goszczyńskiego do snucia nowych planów poetyckich, ale na przeszkodzie do ich wykonania stawał naprzód brak stałej własnej siedziby — o Goszczyńskim można powiedzieć, że był przez całe życie bezdomnym, — a powtóre gorączka rewolucyjna, stale w jego duszy nurtująca, która odwracała jego myśli od literatury i pobudzała do bardzo naiwnych nieraz zamysłów politycznych. Bardzo charakterystyczne pod tym względem szczegóły podaje sam Goszczyński w swoich *Zapiskach do moich Pamiętników* (Teki VII). W r. 1828 towarzyszył on choremu Grabowskiemu (za cudzym paszportem, jako lokaj) do Wiednia przez Galicję i w tej podróży przychodziły mu do głowy »dziwne zamiary«. »Marzy mi się pobyt w Galicji, życie awanturnicze w Karpatach, wojskowość w służbie austriackiej, huzary węgierskie, opryszki i t. p.«, marzenia, które, jak dodawał, »w pewnej części ziściły się w kilka lat później«. Ponieważ, jako opiekun chorego przyjaciela, nie mógł go odstąpić, nie mógł więc narazie kusić się o zrealizowanie tych awanturniczych projektów; ale kiedy w tymże roku, ze zdrowym już Grabowskim,

wracał z tej podróży przez Warszawę i znalazł się blisko granicy galicyjskiej koło Drużkopola, postanowił rozstać się z przyjacielem, który, o ile znał jego awanturnicze plany, musiał je stanowczo potępiać. Spodziewał się Goszczyński znaleźć tu w okolicy (w Mrozowiczach, naprzeciw Kryłowa) innego przyjaciela i kolegę ze szkoły humańskiej, mniej krytycznie usposobionego dla podobnych planów, Wacława Pilawskiego, u którego już przedtem przebywał czas dłuższy w Samhorodku na Ukrainie. Do niego, jak w dym, na pewne, puścił się do Mrozowicz, i tu z przykrem zadziwieniem dowiedział się, że Pilawskiego niema, a jego ekonom leży chory.

Było to już w początkach zimy. »Położenie moje, (powiada Goszczyński w *Zapiskach*) było ciężkie, nie miałem sukien, tylko letnie, wyjąwszy płaszcz i surdut — prawie bez grosza, ale rachowałem na dobroć Pilawskiego. Jak na złość nie zastałem go, był właśnie w Samhorodku, nie wiadano, kiedy powróci«. Cóż czyni Goszczyński w tem trudnem położeniu? Ani o przeprawie do Galicji, ani o spokojnem oddaniu się twórczości poetyckiej pod nieobecność przyjaciela w Mrozowiczach nie może myśleć. Zaprasza się więc »bez ceremonji« do ekonomy, i żeby »nie być wielkim ciężarem dla biedaków«, uczy jego dzieci czytania i pisania, a jemu, dogorywającemu na suchoty, pomaga w pisaniu raportów. W takich warunkach trudno mu było zabrać się do pracy literackiej. »Pisanie było niepodobnem dla przeszkód, nawet fizycznych — główne moje zatrudnienie było spisywać bajki i pieśni, które mi się zdarzyło usłyszeć«.

To trudne położenie Goszczyńskiego w Mrozowiczach zmieniło się na lepsze za przyjazdem Wacława Pilawskiego, i wtedy nasz poeta-konspirator zaczął pisać. Mrozowicze były własnością brata Wacława Pilawskiego, człowieka obłąkanego i poddanego kurateli (Wacław był tylko administratorem); była tam biblioteczka, złożona z książek treści religijnej, z której Goszczyński korzystał; od proboszcza z Litowirza dostał Bibliję; zaczął się w nią wczytywać i »przenikać się« jej poezją. Owocem tego przenikania się poezją Biblii były układane wtedy przezeń wierszem prorocstwa Izajasza i Jeremjasza, jak znów książka p. t. *Cuda Obrazu Częstochowskiego*, którą tam wtedy czytał, dostarczyła mu legend, z których korzystał niedługo potem przy pisaniu powieści *Polak w Jassyrze*.

Latem 1829 r., widocznie zaniechawszy awanturniczych planów tajemnego działania politycznego w Galicji, wrócił Goszczyński na Ukrainę i znowu przebywał w gościnie u Krehowieckiego i Grabowskiego, przygotowując dwutomowy zbiór swoich poezyj, do którego miały wejść dwie powieści: *Polak w Jassyrze* i *Wernyhora*. Grabowski zamysłał wówczas o założeniu pisma literackiego w Warszawie i w tym celu tam się wybierał; Goszczyński, przeczuwając nadchodzącą burzę rewolucyjną, postanowił na zawsze opuścić Ukrainę i przenieść się na stałe do Warszawy, towarzyszył więc znowu Grabowskiemu, ale tym razem już pod własnym nazwiskiem. Grabowski zamiaru swego nie doprowadził do skutku, przeszkodził temu rewolucyjny nastrój stolicy; Goszczyński trafił w najlepszą dla siebie i swoich marzeń i dążeń politycznych porę. Zaznajomiony z Pio-

trem Wysockim, zaczyna wchodzić do tajemnych robót, gotujących powstanie, a kiedy termin wybuchu oznaczono na 18 października, on i Nabelak, z którym się wówczas zaprzyjaźnił, mieli być głównymi sprawcami zamachu na W. Księcia podczas przejazdu jego na paradę wojskową na placu Saskim. Termin wybuchu odroczone, ku najwyższemu zniecierpliwieniu Goszczyńskiego, ale co go ominęło w dniu 18 października, wynagrodził sobie w nocy 29 listopada, należąc do tej garstki młodzieży, która uderzyła na Belweder, siedzibę W. Księcia, i dała tem hasło do powstania.

W powstaniu występował Goszczyński w podwójnej roli, jako żołnierz i jako poeta, pobudzający do boju, a jego liryki bojowe, jak dobrze znany *Marsz za Bug*, należą do najlepszych pieśni patriotycznych z czasów powstania. Ale i jego duch konspiratorski znalazł również i wtedy dla siebie pole do działania. Kiedy po bitwie ostrołęckiej, po upadku powstania na Litwie i przekroczeniu Wisły przez wojska rosyjskie położenie stawało się niezmiernie groźnem, a tymczasem Skrzynecki pozostawał ciągle w bezczynności, wtedy wśród gorętszych żywiołów, doprowadzonych do rozpaczki, gotował się spisek, mający na celu obalenie ówczesnego rządu, przede wszystkim zamach na Skrzyneckiego i Czartoryskiego. Do zamachu nie doszło, ale sam Goszczyński przyznaje, że wraz z Nabelakiem, Tetmajerem i in. brał udział w tym spisku.

Po upadku powstania, kiedy wojsko polskie przechodziło granicę pruską i tam broń składało, i on to uczynił, ale nie poszedł wraz z tyłu innymi na Zachód, do nęcących swoją wolnością Francji lub Szwajcarii,

lecz korzystając z przyjacielskiego stosunku z Józefem Tetmajerem, który, jako poddany austriacki, mógł swobodnie z ziemi pruskiej wrócić do Galicji, podążył tam z nim razem, opatrzone paszportem, wystawionym na imię jego sługi. Podążył tam, bo nie tracił nadziei, że powstanie, choć przygasło na chwilę, niedługo rozżarzy się na nowo, zwłaszcza gdy ten żar przygasły będą rozdmuchiwać takie, jak jego, płuca.

Siedmioletni (1831—1838) pobyt Goszczyńskiego w Galicji stanowi zamknięty, zaokrąglony okres w jego życiu. Praca jego, w tym okresie (jak zresztą i w innych) mająca stale charakter przypadkowości, rozwijała się nieomal równolegle w kilku kierunkach. Zaznajaniał się z górską przyrodą tatrzańską i chłonał w siebie jej wdzięki, tak nowe dla mieszkańca stepów; lubował się jędrnością i dzielnością górali, którym w swoich marzeniach politycznych wyznaczał ważną rolę, badał ich życie, obyczaj, wierzenia, aby, stosownie do poglądów Brodzińskiego, czerpać stąd materiał do swoich utworów poetyckich; przedewszystkiem zaś uprawiał konspirację, w której widział jedyną drogę, prowadzącą do wyzwolenia Polski. Wielkiem ułatwieniem dla Goszczyńskiego w swobodnem poruszaniu się i działaniu w Galicji była dobra znajomość z rodziną Tetmajerów, którzy mieli wioskę Mikołajowice pod Tarnowem i inną posiadłość (Łopusznę) w pobliżu Tatr. Jak z Mikołajowic łatwo mu było zawiązać już w następnym roku (1832) pierwszy patriotyczny spisek w Tarnowie, który zresztą niedługo istniał, tak z Łopuszny mógł łatwo przedsiębrać wycieczki w Tatry, które go wtajemni-

czały w piękności przyrody tatrzańskiej i zbliżały do ludu górskiego.

Pod koniec 1832 r. zaczyna Goszczyński zaznajamiać się i ze wschodnią Galicją, we Lwowie styka się z Ignacym Kulczyńskim, emigrantem z Wołynia, który, podobnie jak Goszczyński, krząta się, aby nowe przygotować powstanie, i razem z nim i z innymi emigrantami przebywającymi w Galicji, a także przy udziale krajowców, organizuje związek pod nazwą Związku 21, bo tylu było jego uczestników. Krajowcom, jako lepiej znającym warunki miejscowe, przyznano kierownictwo w Związku, i może dlatego Związek miał działać powoli, poczynając od założenia pisma czasowego, któreby odpowiednio nastrojało umysły.

Ażeby mieć fundusze, potrzebne do wydawania pisma, zwrócono się o pomoc pieniężną do Komitetu patrijotycznego szlacheckiego we Lwowie, w którym zasiadał między innymi i sławny już wówczas komedjopisarz, Aleksander Fredro. Komitet nie był od tego, aby udzielić zasiłku pieniężnego pismu, mającemu cele patrijotyczne, ale żądał pewnej kontroli nad jego redakcją. Mianowicie Fredro, który zapewne wiedział o udziale Goszczyńskiego w tym dzienniku, miał wyrazić obawę, aby nie drukowano tam czegoś, co by było w duchu *Uczty zemsty*, i dlatego żądał, aby artykuły przed ogłoszeniem przechodziły przez cenzurę komitetu. Na ten warunek Goszczyński się nie zgodził i dał dosadną odpowiedź komitetowi, w swoich zaś późniejszych *Zapiskach* zanotował: »Przez to upadł projekt Dziennika, a ja straciłem dla Fredry szacunek i oka-

załem to jemu kilka lat później w rozprawie: *Nowa epoka poezji polskiej*.

Wkrótce potem wysłańcy stronnictwa Lelewelowskiego na emigracji zaczęli organizować w Galicji spisak, który miał w zaborze rosyjskim wywołać nowe powstanie pod dowództwem Zaliwskiego. W tym szalonym zamyśle opierano się na niedorzecznej nadziei, że lud da się porwać garstce ochotników do broni i że to nowe powstanie da hasło do powszechnej rewolucji w Rosji, a może i w innych krajach. Wciągnięto Goszczyńskiego do tej roboty, ale jakkolwiek był skorym do konspirowania i pozbawionym krytycyzmu, przecież i jemu wydawała się ta robota opartą na kłamstwie i stąd potępienia godną, jak to w swoich *Zapiskach do moich Pamiętników* zaznaczył. Awanturnicza wyprawa Zaliwskiego, jak wiadomo, przyprawiła o śmierć wielu szlachetnych szaleńców, ściągnęła na kraj pod rządem rosyjskim całą falę nowych udręczeń, a na Galicji odbiła się zmianą postępowania rządu austriackiego wobec emigrantów, których zaczęto ścigać i prześladować. I Goszczyński, który dotychczas swobodnie się poruszał w Galicji, musiał odtąd taić się i ukrywać.

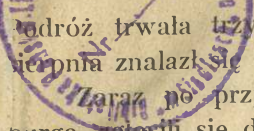
W sąsiedniej Rzeczypospolitej Krakowskiej, jakkolwiek zostawała ona pod bacznym dozorem trzech dworów rozbiorczych, można było przecież żyć swobodniej, i tam w roku 1835 przeniósł się na jakiś czas Goszczyński i zawiązał Stowarzyszenie ludu polskiego, którego zadaniem było szerzyć pojęcia demokratyczne, jako podstawę do moralnego i politycznego odrodzenia Polski. Naukowym i literackim organem tego związku był miesięcznik p. t. *Powszechny*

Pamiętnik nauk i umiejętności, założony przez jednego z członków związku, Leona Zienkowicza; Goszczyński był głównym współpracownikiem i przewodnikiem myśli głównej Stowarzyszenia i tutaj to umieścił swoją obszerną krytykę najnowszej poezji polskiej, w szeregu artykułów, którym nadał zbiorowy tytuł: *Nowa epoka poezji polskiej*. W tej krytyce występował ostro, w myśl dążności Brodzińskiego, przeciw wszystkiemu, co trąciło naśladownictwem, co nie było z gruntu rodzimem, a także i przeciw wszystkiemu, co przeczyło w jakikolwiek sposób jego ideałom patriotyczno-społecznym, i tutaj to w bolesny sposób dotknął Aleksandra Fredrę, w którym upatrywał przeciwnika tych swoich ideałów.

W Krakowie też, w tymże roku 1835, zetknął się Goszczyński z nowym emisariuszem stronnictwa Lelewelowskiego, Szymonem Konarskim, który przybywał do kraju już nie z zamiarem wszczęcia partyzantki na wzór Zaliwskiego, ale dla demokratycznej, tajnej propagandy i utworzenia sieci spiskowej pod zaborem rosyjskim, a także w Galicji. Porozumienie z Konarskim nastąpiło łatwo, Konarski znalazł gorliwego współdziałacza w Goszczyńskim, a kiedy sam pod koniec 1835 roku przeprawił się za granicę rosyjską na Wołyń, rozpoczynając swoją przeszło dwuletnią robotę spiskowo-patriotyczną, Goszczyński został w Galicji, jako główny organizator tajnego związku patriotycznego. Miał i on potem ruszyć w ślady Konarskiego i jeszcze na początku 1838 r. zamyslał o tem, ażeby się przedostać za granicę rosyjską, ale w tym czasie zjawił się w Galicji wysłaniec innego stronnictwa emigracyjnego, mianowicie emisariusz Centralizacji T o w a r z y s t w a D e-

mokratycznego (które dotychczas zdaleka się trzymało od robót spiskowych w kraju), z pełnomocnictwem do tajnego działania w Galicji, i zetknął się z Goszczyńskim.

Tym pełnomocnym wysłańcem Centralizacji demokratycznej był Robert Chmielewski, znany Goszczyńskiemu jeszcze z nocy 29 listopada, do porozumienia więc między nimi prędko przyszło, a następstwem tego porozumienia było, że Goszczyński postanowił swoje stosunki i wpływy w Galicji przenieść na wysłańca Centralizacji, który go zapewne musiał przekonać, że najsilniejszym i najwięcej obiecującym dla przyszłości narodu stronnictwem emigracyjnym jest Towarzystwo Demokratyczne. Sam Goszczyński zaniechał wtedy zamiaru udania się w ślady Konarskiego i postanowił wyjechać do Francji, ażeby już nie konspirowaniem, ale na drodze literackiej służyć ojczyźnie, bo warunki galicyjskiego życia nie dawały mu możliwości pracowania na tej drodze. Wiemy z listów jego, że go przyjaciele galicyjscy, ceniący jego talent poetycki, do tego nakłaniali; wiemy, że i on sam czuł, że rola jego konspiratorska w Galicji już skończona, a że, przeciwnie, na emigracji, przy swobodzie słowa, ma jeszcze niejedno do wypowiedzenia światu, a przynajmniej swojej ojczyźnie. Bardzo być może, że i Robert Chmielewski nakłaniał go do tego, chcąc pozyskać dla Towarzystwa Demokratycznego tak cenną siłę literacką. Zawiózł tedy Goszczyński Chmielewskiego do Lwowa, wprowadził go w styczność z »Naczelnym Zborem«, t. j. centralizacją patriotycznego związku galicyjskiego, a sam w pierwszych dniach maja 1838 r. puścił się do Francji.



W podróz trwała trzy miesiące; dopiero w początkach sierpnia znalazł się na ziemi francuskiej, w Strasburgu. Zaraz po przybyciu Goszczyńskiego do Strasburga zgłosili się do niego listownie ówcześni członkowie Centralizacji (Malinowski, Heltman, Darasz i in.) i wzywali go jak najgoręcej, ażeby niezwłocznie przyjeżdżał do nich, do Poitiers, dla porozumienia się. W istocie mogli sobie wiele obiecywać po ścisłym stosunku z nim, nietylko jako z poetą demokratyczno-patriotycznym, ale i jako z tym, który miał kilkoletnią praktykę konspiratorską i poznał wzdłuż i wszerz Galicję. Ale Goszczyński nie mógł zaraz uczynić zadość ich żądaniu, głównie, jak się zdaje, z powodu złego stanu zdrowia; odkładał tedy na później swój przyjazd do Poitiers, ku wielkiemu zmartwieniu Centralizacji, a tymczasem nadeszły rady i przestrogi ze strony Bohdana Zaleskiego, »ażeby się długo i powoli rozpatrywał w emigracji, zanim coś postanowi z sobą«, co mogło być jedną więcej pobudką dla Goszczyńskiego, żeby się nie spieszyć do Poitiers. Ale porozumiewał się z Centralizacją demokratyczną listownie i napisał obszerny a bardzo dla niej przydatny memoriał o tem, w jakim stanie znajduje się »demokratyczna nauka« w Galicji, o usposobieniu społeczeństwa galicyjskiego pod względem patriotycznym i demokratycznym, a także o tem, jakimi powinni być i jak powinni działać na gruncie galicyjskim emisariusze emigracyjni.

Bardzo ciekawy ten memoriał, jak z jednej strony odślaniał ewolucję wyobrażeń politycznych i społecznych w kraju, tak z drugiej strony świadczył o znacznym otrzeźwieniu samego Goszczyńskiego, który umiał

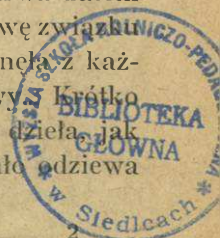
objektywnie przedstawić zarzuty czynione przez Galicjan konspirującej emigracji, pomimo, iż wymierzone one były głównie przeciw demokracji, za której członka on sam się uważał. »Te wszystkie zarzuty — czytamy w memorjale — a mianowicie wynarodowienie się, duch kosmopolityzmu, a raczej ślepe naśladowanie cudzoziemców ze szkodą sprawy narodowej, przenoszenie do kraju teoryj, które w żadnym narodzie dotąd zastosować się nie dały, dla których dzisiaj żaden naród jeszcze nie dojrzał... zupełna nieznanomość obecnego położenia i obecnych potrzeb, największa nietrafność w wyborze środków, stosowane są szczególnie, powiedziawszy prawdę, do emigracji demokratycznej«.

Jeszcze silniej właściwy Goszczyńskiemu duch prawdy przemówił z tego ustępu memorjału, gdzie podawał swoją opinię o warstwie szlacheckiej w Galicji. O arystokracji miał on jak najgorsze wyobrażenie, jako o takiej, która jest »śmiertelnym wrogiem nowych wyobrażeń« i przed którą »trzeba się pilnować«; ale na szlachtę »właściwą, dziedziców i nie-dziedziców«, spoglądał jako na »jedyną przechowywaczkę świętego ognia przeszłego życia i narodowości polskiej«, i przedstawiał ją jako »pragnącą ojczyzny, jak zbawienia, władającą pośrednio i bezpośrednio wszystkimi środkami materjalnemi, umysłowemi i moralnemi narodu, wszechmocną prawie w kraju, jedyną, przez którą w dniach przygotowawczych można coś zrobić, na którą w samem powstaniu najwięcej rachować można... najzdolniejszą wszystko pojąć, przyjąć, poświęcić własny swój interes i zrobić powstanie«.

Stawiać te słowa w Strashburgu, niewątpliwie mu-

wał Goszczyński już znać okólniki Centralizacji Towarzystwa Demokratycznego z lat 1836 i 1837 z zawartymi w nich dwoma projektami manifestu, który miał wypowiedzieć i uzasadnić wobec emigracji i całej Polski założenia Towarzystwa. Zapatrzona we wzory wielkiej rewolucji francuskiej, Centralizacja zupełnie inaczej niż Goszczyński traktowała szlachtę, w żadne kompromisy z nią wdawać się nie chciała i groziła jej zemstą ludu, pewna, że tem łatwiej skłoni ją do połączenia się z ludem. Był więc memorjał Goszczyńskiego bardzo wymowną, bardzo stanowczą, chociaż w łagodnej formie podaną, nauką dla Centralizacji, jak ma działać w kraju, jak ma zmienić swoją dotychczasową politykę wobec szlachty, jak uczynić tę politykę realną, owocną.

Przedewszystkiem raziło Goszczyńskiego wzgardliwe odnoszenie się Centralizacji do przeszłości narodu, wyzbycie się wszelkiego poczucia narodowości polskiej wskutek bezwzględego przejścia się obcemi wpływami; więc podając zasady, na jakich powinien się oprzeć tajny związek demokratyczny, który ma być utworzony w kraju i przygotować powstanie, tak pisał: »Narodowość polska jest dziś jedyną potęgą, która daje odpór napastnikom narodu polskiego; jest świętością naszą. Nie znajdzie współzucia w narodzie, kto okazuje dla niej pogardę lub ją lekceważy. Barwa zatem narodowości powinna się rozlać na całą budowę związku przyszłego tak, aby jaśniała w jego celu, technika z każdego szczegółu, ożywiała każdą myśl ustawy. Krótko mówiąc, powinna promienieć z wewnątrz dzieła, jak jego dusza, a zewnątrz odziewać je, jak ciało odziewa duszę«.



1973

Ta obrona narodowości dobrze harmonizowała z duchem utworu, którego pomysł już podczas pisania memorjału musiał się zarysowywać w twórczej wyobraźni poety, a który wkrótce potem zaczął przyoblekać kształty powieściowe, z duchem *Króla Zamczyska*.

Z innych objawów literackiej twórczości Goszczyńskiego w owych czasach najmniej godnym uwagi jest udział jego w piśmie humorystycznym polskim, które w r. 1839 zaczął wydawać w Strasburgu dobry znajomy jego, dawniejszy wydawca krakowskiego *Powszechnego Pamiętnika nauk i umiejętności*, Leon Zienkowiec. Pismo to chciało nawiązać do czasów obecnych tradycję Rzeczypospolitej Babińskiej i dlatego miało tytuł *Pszonka*, ale obracało się w zbyt ciasnem kole satyry, wymierzonej przeciw stronnictwom emigracyjnym i ich organom, z którymi Towarzystwo Demokratyczne pogodzić się nie mogło, przedewszystkiem przeciw stronnictwu dynastycznemu, które w X. Adamie Czartoryskim widziało króla *de facto*. W piśmie tem, w którym oprócz wydawcy brali udział Goszczyński i świeżo także przybyły z Galicji Lucjan Siemieński, były niektóre artykuły wesołe i dowcipne, ale te, które wydobył z *Pszonki* Zygmunt Wasilewski i wydał w zbiorowem wydaniu *Dzieł Goszczyńskiego* (1910) jako utwory tego poety, mało mają humoru, a wiele zaciętości stronnicej. Wogóle humor był czemś obcem naturze Goszczyńskiego, który na życie spoglądał zawsze okiem poważnem i surowem. Więcej mają znaczenia jego recenzje literackie, umieszczane w tym czasie (1841 — 1842) w *Demokracji Polskiej*, nieliczne wprawdzie, ale takie, w których stan jego duszy i kierunek wyobrażeń mógł

się lepiej niż w humoryście wypowiedzieć. Taką była naprzód jego ocena *Pamiętek Soplicy* Henryka Rzewuskiego, które były czemś zupełnie nowem, nie mającem wzoru przed sobą w literaturze polskiej. Ocena była obszerną, wszechstronną, w wielu rzeczach trafną; Goszczyński zastanawiał się w niej nad zadaniem krytyki i dochodził do wniosku, że krytyka powinna być tem dla literatury, czem jest sumienie dla człowieka. Jeszcze godniejszą uwagi była recenzja poezyj Bohdana Zaleskiego, które wtedy ukazały się na horyzoncie literackim. Recenzja była także obszerna, szczegółowa, napisana przytem z wielkim polotem i wielkim przejęciem się ważnością zadania, jakie miał krytyk przed sobą. Chodziło Goszczyńskiemu o to, aby i spłacić dług przyjaźni, podnosząc wysoko poezję przyjaciela, której wartość artystyczną umiał ocenić, i zaznaczyć jaskrawą różnicę ideową, która ich dzieliła. Tamtego domagało się serce krytyka, tego — jego sumienie polityczne i patriotyczne.

Co się tyczy różnicy ideowej, ta dotyczyła poglądów jednego i drugiego poety na katolicyzm. Zaleski szukał zbawienia Polski w zupełnej zgodzie z Kościołem katolickim; stanowisko Goszczyńskiego, zakreślone w tej recenzji, było stanowiskiem deisty, ale deisty w duchu Russa, nie Woltera, to jest opierał on religję na uczuciu, nie na rozumie. Religji przypisywał wielkie znaczenie w życiu ludzkości, uważał ją »za rozwijanie się ludzkości z Boga ku Bogu«, ale widział w niej dwie strony: niebieską i ziemską. Pierwszą stanowią prawdy, wyrte w sercu ludzkim, wrodzone, które człowiek z sobą już na świat przynosi i które są wspólne wszystkim

religjom, i to jest — utrzymywał — »jedyna wiara prawdziwa«. Druga strona jest już dziełem umysłu ludzkiego, »mniej więcej doskonałem, stosownie do usposobienia duchowego danych epok«, i ma się do pierwszej, jak ciało do ducha, podlega zużyciu się i śmierci. »Obie te strony widzimy w każdej religji, widzimy je i w poezjach Zaleskiego, pisanych pod wpływem wyobrażeń wyłącznie religijnych«. O ile pierwsza występuje, »w poezjach jego wieje pewien powiew nieskończoności... wszystkie serca jemu wtórują«, »ale jak wężsnie swoje natechnienie w ułomne, zużyte formy rzymskiego katolicyzmu, cały widok duszy zmienia się, posępnieje, maleje... z wiary wygląda tylko jej bierna strona, strona modłów, zwątpienia o ludzkich środkach, zdania się całkowitego na łaskę Opatrzności; myśl polska rozbija się w ascetyczne dumania, a naród traci swego poetę i znajduje tylko poetę zakonnika«.

Trzeba dodać, że Goszczyński, bardzo niedostatecznie obeznany z nauką Kościoła katolickiego, fałszywie przypisywał jej, a stąd i Zaleskiemu, poglądy takie n. p., że »wola człowieka jest niczem«, że »sam Bóg ostatecznie rozstrzyga bez względu na zasługi cierpiącego, bo jego wyroki są przedwieczne«, że »znaki zbawienia i potępienia rozdane są przed narodzeniem się wybranych i odrzuconych«, i t. p. W zastosowaniu do sprawy narodowej Goszczyński twierdził, że katolicyzm prowadzi tylko do »biernej rezygnacji, oderwania się od ziemi, zaniechania wszystkich spraw ziemskich, lekceważenia wszystkich obowiązków obywatelskich«. Z tych to błędnych informacji Goszczyńskiego o Kościele ka-

tolickim płynęła w znacznej części jego niechęć ku temu Kościelowi.

Najważniejszą rzeczą w jego ówczesnej twórczości literackiej były powieści. Znał swój talent epicki, upewnili go o nim tacy krytycy, jak Grabowski i Mochnacki, a potem i literaci galicyjscy, którzy niewątpliwie mieli głównie na oku jego twórczość epicką, kiedy go namawiali, ażeby wyjechał do Francji, gdzieby mógł, nie ścigany przez policję, oddać się spokojnie pisaniu. Próbował on już w pierwszych latach pobytu w Galicji z nowego materiału wrażeń, jakich mu dostarczyło zbliżenie się do ludu górskiego, jego podań i wierzeń, i do przyrody tatrzańskiej, utworzyć coś w rodzaju *Zamku Kaniowskiego*. Plan był zakreślony na wielką skalę: miała to być epopeja góralska z czasów pierwszego napadu Tatarów na Polskę, cudowność miała grać w tej epopei wielką rolę, ale z planu tej całości, która miała się nazywać *Kościelisko* (od nazwy doliny Kościeliskiej) udało się poecie wykończyć tylko jeden epizod, przedstawiający sobótkę w górach, wydany też pod tytułem *Sobótką* (w noworoczniku lwowskim *Ziemia* 1834). Kiedy więc znalazł się we Francji i spełnił ważne i pilne zadanie wobec emigracji demokratycznej, to jest kiedy napisał ów *Memorjał* o Galicji, o którym wyżej była mowa, z kolei rzeczy stanęło przed nim główne zadanie, dla którego przyjechał do Francji: stworzenie jakiegoś nowego większego dzieła poetyckiego.

GENEZA »KRÓLA ZAMCZYSKA«

Zanim przystąpił do wykonania zamiaru, była naturalnie chwila rozważania: do jakiego zwrócić się tematu? i w jaką odziać go formę? Miał-że, jak w *Zamku Kaniowskim*, czerpać i teraz z niedawnych wspomnień historycznych i stąd zaczerpnięty temat znów w bajronicznej podawać formie? Czy też, jak w *Sobótce*, sięgać do zamierzchłych tradycyj i współczesny obyczaj ludowy wiązać z cudownością bajecznych podań i wierzeń ludowych? Stawały zapewne przed nim i inne wzory współczesne, tak z polskiej poezji, jak i obcej, ale jak własne, tak i cudze nie odpowiadały teraz jego nastrojowi. Przyjechał do Francji z bogatym skarbem wrażeń, przeżyć, wspomnień z siedmioletniego pobytu w Galicji, chciał naprzód z tego świeżego źródła zaczerpnąć temat i podać go w formie jak najprostszej, bez oglądania się na żadne wzory. Tak się urodził *Król Zameczyjska*.

Że tak było, że przez takie rozważania przechodziła myśl Goszczyńskiego przed rozpoczęciem powieści, dowodzi tego bardzo jasno krótki, z polotem poetyckim napisany wstęp do niej. »Poezja — czytamy tam — jest wszędzie, w każdej chwili, jak bóstwo, nikomu nie wzbronna, jak zbawienie, jak ucziwa sława. Nawet nasz wiek, tak osławiony, tak okrzyczany prozaicznym, nawet nasze pokolenie, odsądzone od czci i wiary przez idealistów, mają swoją poezję. Nie jest ona wprawdzie ani rajska, ani homeryczną, ani romantyczną, ale jest tak dobrą, jak wszystkie starsze jej siostry, jest poezją

swojego czasu. Nie potrzeba jej daleko szukać, nie potrzeba jej uganiać poza obrębem dzisiejszej ludzkości, nie potrzeba jej sobie wymyślać, jest ona pomiędzy nami, w sferze naszego życia, naszych ludzi, w postaciach najpowszedniejszych«. A w dalszym ciągu tego krótkiego wstępu dodawał: »Chwile, przeżyte pod wpływem takiej poezji, stanowią najdroższy zapas najmilszych w mojem życiu wspomnień: mam je z każdej epoki moich dziejów, a epoką najobfitszą może w taką poetyczność jest ostatni mój pobyt w krainie podkarpackiej«...

Otóż kiedy w danej chwili, w celach literackich, przeglądał w myśli ten »najdroższy« zapas wspomnień i przeżyć ze swego niedawnego, ale już przesłoniętego mgłą oddalenia pobytu w Galicji, jedno szczególnie wspomnienie przyciągnęło ku sobie jego fantazję i serce i stało się zarodem nowego dzieła poetyckiego. Było to wspomnienie przelotnej znajomości z człowiekiem, który w całej okolicy, gdzie przebywał, uchodził za obłąkanego i który był nim w istocie, ale którego obłąkanie miało cechy głębokiej i szczerzej poezji i na tle swego czasu mogło się stać symbolem namiętnej miłości ojczyzny. Był to niejaki Machnicki, niższy urzędnik austriacki w Galicji w pierwszej ćwierci dziewiętnastego wieku, ale człowiek z wyższem wykształceniem i, jak się dowiadujemy z powieści Goszczyńskiego, władający nawet kilku językami obcemi.

Postać tę, aż do obecnej chwili, znaliśmy tylko z tej powieści i nie wiedzieliśmy, o ile ona miała być realny, niezależny od fantazji autora. Dopiero w świeżo wydanych przez Stan. Wasylewskiego pamiętnikach Ludwika

Grzymały Jabłonowskiego (z rękop. w Ossolineum), p. 1. *Złote czasy i wywczasły. Pamiętnik szlachcica z pierwszej połowy XIX stulecia* (Lwów 1920), znajdujemy wzmiankę o Machnickim, stwierdzającą jego rzeczywistość, niezależną od powieści. Na str. 5 książki powiada Ludwik Jabłonowski, że »w zwałiskach Kamieńca¹, zburzonego nie wiedzieć wśród jakiej wojny, przebywał zwykle oblakany Machnicki; w r. 1833 zawiozłem tam Goszczyńskiego, którego natchnął *Królem Zamczyska*. Był to niski urzędniczek król. miasta Krosna, mały, chudy, łysy, w siwej kapocie, całkiem nieszkodliwy, chadzał w odwiedzinę po dworach i nawet wiersze składał«. Dziś, dzięki p. Feliksowi Konopce z Brnia, możemy nietylko upewnić się, że bohater powieści Goszczyńskiego był postacią rzeczywistą, ale i podać jego portret, odmalowany przez stryjecznego dziada, t. j. stryja ojca p. Feliksa, bar. Prospera Konopkę, który był uczestnikiem powstania w 1831 r. (otrzymał krzyż *Virtuti militari*), a jednocześnie oddawał się malarstwu i przez lat kilka, już po r. 1831, był uczniem wiedeńskiej Akademji sztuk pięknych. P. Feliks Konopka na podstawie porównania tej akwareli z innymi portretami i szkicami tegoż artysty przypuszcza, że pochodzi ona jeszcze z lat przed powstaniem listopadowym, a że wszystkie te szkice i portrety »odznaczały się fotograficznem niemal uchwycciem podobieństwa«.

¹ W książce czytamy »kamienia«, co jest najpewniej błędem, pochodzącym ze złego odczytania rękopisu, bo zamek nazywano zawsze Kamieńcem.



MACHNICKI, KRÓL ZAMCZYSKA
PODŁUG AKWARELI BAR. PROSPERA KONOPKI,
MALOWANEJ PRZED NIESPEŁNĄ STU LATY.



4

5

10

7

sądzi więc, »że i w tym portreciku mamy bardzo wierną podobiznę Króla Zameczyśka«¹.

Wreszcie p. Feliks Konopka, wiedząc, że mam opracować *Króla Zameczyśka* dla »Biblioteki Narodowej«, a o rzeczywiście istnieniu Machnickiego nie byłem jeszcze wtedy dostatecznie przekonany, zwrócił mi uwagę, że dziś jeszcze w Krakowie można znaleźć osobę, liczącą dziś już lat 97, która będąc małą dziewczynką, widywała Machnickiego w domu swoich rodziców w Jasielskiem. Jest nią p. Eugenja ze Swiejkóńskich Stojowska. Dzięki tej informacji zwróciłem się do p. Stojowskiej, pomimo późnego wieku obdarzonej jasnym i żywym umysłem, i z jej ust otrzymałem potwierdzenie tego, o czym mię p. Feliks Konopka informował.

Oprócz tego zawdzięczam p. Feliksowi Konopce inne jeszcze wiadomości o Machnickim, jako rzeczywistym osobniku, który posłużył Goszczyńskiemu za model do *Króla Zameczyśka*. W liście swoim do mnie z dnia 25 sierpnia 1921 r. pisze on co następuje: »Z opowiadań innych krewnych moich (dziś już nie żyjących), którzy Machnickiego osobiście znali — jeździł on bowiem po dworach okolicznych i dalszych, jak kwestarz, przesiadując nieraz tygodniami w gościnniejszych domach — odnosiłem zawsze wrażenie, że Goszczyński, idealizując swojego bohatera, przedstawił jednak bardzo wiernie stosunek miejscowego obywatelstwa do Machnickiego. Lubiono go w towarzystwach, gdyż bawiono się jego osobą i powiedzeniami, które czasem dziwnie zastanawiały i niepokoiły, i sadzano go do stołu, jak

¹ W liście do prof. Stanisława Kota z dnia 18 VI. 1921 r.

gościa, ale równocześnie (o czym już Goszczyński nie wspomina) obdarzano go bez ceremonji, jak żebraka. Ten ostatni rys, nie licujący z tem jakimś głębszem samopoczuciem królewskości, w które Machnickiego przystraja poeta, może jednak doskonale iść w parze z megalomanią obłąkanego, a zwłaszcza harmonizuje w zupełności z charakterystyką typu, którą znajdujemy w akwareli pendzla Prospera Konopki. — Z własnych słów Machnickiego cytowano mi tylko jedno zdanie, które z predylekcją powtarzał, gdyż było ono wyrazem jego *idée fixe*: „A ja wam powiadam, że djabeł urodził się w atramencie”. Woził nawet Machnicki ze sobą dużą butlę atramentu, którą ponoś otaczał urokiem tajemniczości, i nigdy z nią się nie rozstawał.

Tyle tylko wiadomości przekazała nam o Machnickim tradycja miejscowa, tradycja społeczeństwa, które w Machnickim widziało tylko nieszkodliwego a zabawnego warjata, a na które on, pomimo iż pozwalał mu zaopatrywać swoje potrzeby gospodarcze, spoglądał z góry, z wysokości idei, którą był do głębi przejęty, idei wskrzeszenia niepodległej Polski, i z wysokości stanowiska, jakie mu obłąkana wyobraźnia podsunęła — tymczasowego następcy czy zastępcy dawnych królów polskich. Ten stosunek Machnickiego do szlachty, wśród której się obracał, a która się jego kosztem bawiła, stosunek urągliwy, bardzo dobitnie się wyraża w twarzy Króla Zameczyska, jak go przedstawił w swoim portrecie Prosper Konopka.

Drugą stroną medalu jest ten wyraz — napół natchmionego, napół obłąkanego marzyciela — jaki nadał Goszczyński bohaterowi swojej powieści. Było

wiele węzłów duchowych, które zbliżały tych dwóch ludzi do siebie, a które poeta uwydatnił w powieści: zamiłowanie w poezji, w ruinach, w pięknej przyrodzie, tak pięknie odmalowane na początku rozdziału p. t. *Zamczysko Odrzykońskie*, a przede wszystkim równie gorąca i górująca w sercu poety, jak i w sercu obłąkanego bohatera poematu, żądza wyzwolenia ojczyzny z pod jarzma obcego. Toteż Goszczyński zupełnie innemi oczami spoglądał na Machnickiego, niż obywatelstwo jasielskie, a to wyraźne współczucie, z jakim się odnosił poeta do szlachetnego obłąkańca, nie mogło ująć uwagi tego ostatniego i nie pobudzać go do pełnego otwarcia swojej duszy przed poetą.

Zresztą Goszczyńskiemu, gdy przedstawiał Machnickiego w swojej powieści, nie chodziło tylko o wierną kopję oryginału, który poznał, jak n. p. Prosperowi Konopce, ale wziął go za model do postaci symbolicznej, która ogarniała bardzo wiele, a w tej wielości i duszę poety w jej najgłębszych uczuciach narodowych. Jak dla Króla Zamczyska zamek odrzykoński stał się żywym symbolem całej Polski, jej przebrzmiałej i przygasłej, ale w gruzach jeszcze tającej się i tlejącej chwały, tak dla Goszczyńskiego ten obłąkany król miał być symbolicznym przedstawicielem najgorętszych duchów współczesnego pokolenia, pochłoniętych jedną tylko myślą, odzyskania ojczyzny, nie poza nią nie widzących i wszystko dla niej gotowych poświęcić.

Do takich duchów należał i sam Goszczyński, więc i siebie on w tym obłąkańcu wypowiadał, i tu zapewne dokładał do postaci swego bohatera to, czego w niej może nie było, co było wyrazem przekonań

samego poety: wiara w lud, w odrodzenie Polski za pomocą ludu. Kiedy w chwili upadku powstania listopadowego, jak opowiada Machnicki, zawaliły się ostatnie pokoje mieszkalne zamczyska i stolica królewska Machnickiego do reszty runęła, a on sam ręce załamał, Stańczyk, jego duch opiekuńczy, zawołał do niego: »No, no, uspokój się... -- Aby dusza była, znajdzie się ciało. I czegoż tu rozpaczać? Widok wprawdzie bolesny, ale nie powód do rozpaczy. Wichur złamał tylko spróchniałą gałąź: pień drzewa nietknięty i żyje. Wszystkich gałązek nie ocalisz, samego nawet drzewa, o ile jest nad ziemią, nie zabezpieczysz przeciw zepsuciu, ale pilnuj korzenia, tam życie. Dlatego wprowadzę cię w inne mieszkanie; zamknę myśl twoją w nowe formy, bezpieczniejsze i właściwsze. Więcej zyskasz, jak straciłeś«.

W tych słowach Stańczyka zamknął Goszczyński ideę społeczno-narodową, którą uwieńczył swoją symboliczno-alegoryczną powieść. Była to jego oddawna noszona w duszy wiara demokratyczna: tylko przez lud zdoła się Polska odrodzić; inne warstwy nie potrafią podźwignąć upadłej ojczyzny. Ale tu nasuwa się pytanie, jak się godzi ta idea i to ciemne tło szlacheckiego życia w Galicji, na którem Goszczyński odmalował bohatera swojej powieści, z poglądami autora na szlachtę galicyjską, podanemi w *Memorjale*, spisany tuż przed powieścią, którego treść poczęści już znamy.

Myślę, że odpowiedź na to pytanie może być tylko taka: Goszczyński, przedstawiając szlachtę galicyjską w stosunku do Króla Zamczyska, akcentował głównie i prawie wyłącznie jej słabe strony, przedewszystkiem jej lekkomyślność, która tak rażąco odbijała od stałości

i głębi uczuć obłąkanego Króla. Od uczuć patryjotycznych nie odsądzał jej wcale, i w jej lepszych jednostkach, których tu nie pokazywał, bo mu nie były do kontrastu potrzebne, ale których wiele w swoich wędrówkach podkarpackich poznał, w tych lepszych jednostkach widział, zgodnie z *Memorjałem*, jedynych przechowawczy »świętego ognia przeszłego życia i narodowości polskiej«. A stosował to jeszcze więcej do kobiet, niż do mężczyzn, bo o kobietach Polkach pisał w *Memorjale*, że są »rozumne, jak mężczyźni, a szlachetniejsze od nich, bardziej gotowe do poświęcenia się, z żywszem uczuciem narodowości, pod względem cnót i prywatnych i publicznych wyższe niezaprzeczenie od kobiet innych narodów... biorące udział w każdej sprawie bardziej czuciem, jak głową, przywiązujące się do raz wziętej całą mocą miłości, a przeto nieobojętne dla robót demokratycznych«. Otóż tej lepszej części szlacheckiego społeczeństwa wyznaczał on przejściowe wprawdzie, ale ważne zadanie w rozwoju przyszłości narodu, w dziele narodowego odrodzenia i odzyskania niepodległości.

Co myślał o ludzie wiejskim, na którym się głównie miało oprzeć to dzieło, to bardzo wyraźnie w owym *Memorjale* wypowiedział.

Macie (w Galicji) lud wiejski polski i ruski i oddzielny prawie od tych obydwóch lud góralski, a wszystkie nie lubiące się wzajemnie. Lud polski, plemię w całej może Polsce najdzielniejsze, ale zepsute w wysokim stopniu przez machiawelizm austriackiego rządu, nie uważające się prawie za jedno z Polakami, nie cierpiące szlachty, jako panów i Polaków, ufające rządowi, który ma za ojcowski, trudne do nawracania dla wielkiej ku Polakom nieufności — mimo

to usposobione już nieco przez wypadki i propagandę, którego wszakże przysposobienie do powstania i poruszenie w całej massie może jest tylko przez szlachtę właścicieli, a przynajmniej przez krajowców. Górale wyżsi są od mieszkańców równin i fizycznie i umysłowo; lud zręczny, pojętny, zuchwały, zacięty, straszny w wojnie prowadzonej w jego okolicach, zwący wszystkich nie-górali Polaków nienawistnem nazwiskiem »Lachów« — nieuległy, najprzystępniejszy z ludu wiejskiego propagandzie, ale przytem najskrytszy, najchytrzejszy, najdwoznaczniejszy i dlatego wymagający w postępowaniu z nim wielkiej zręczności i ostrożności apostołów. Lud ruski nienawidzi Polaków nienawiścią plemienia, języka, wiary i niewolnika; najbardziej znękany, najbardziej spodlony, mimo to, a może i dlatego, przyjmuje najszczerzej słowa zbawienia i ostatnie wypadki dały mu zręczność pokazać się albo z mniejszą nienawiścią, jak lud innych okolic, ku propagatorom, t. j. emigrantom, albo wprost z większą przychylnością, która dochodziła niekiedy do rozrzewniających poświęceń się.

Wreszcie, uzupełniając charakterystykę ludu wiejskiego w Galicji, określał jego uczucia religijne jako »systemat zabobonów, fanatyzmu i czci zewnętrznej«; i kończył wnioskiem, że »niema podobieństwa, ażeby przed powstaniem można wlać w niego pojęcie całej ważności przyszłego powstania i usposobić go na lud, godny Rzeczypospolitej«.

Ze wszystkich podanych tu słów Goszczyńskiego o ludzie wiejskim wynika, że jakkolwiek na nim głównie opierał przyszłość Polski, narazie spoglądał na niego jako na siłę ślepa, drzemiącą, nieuświadomioną i nie związaną z tradycjami przeszłości. Któż mógł ten lud doprowadzić do poczucia godności ludzkiej i narodowej, otworzyć przed nim skarby pełnej chwały prze-

szłości, dziś dla niego nieistniejącej, a przede wszystkim powołać do zrzucenia obcego jarzma, które wszelki rozwój jego ducha obywatelskiego i poczucia narodowego tamowało? To mogła zrobić — Goszczyński wyraźnie to powiedział — tylko szlachta, o ile była przejęta miłością ojczyzny i duchem demokratycznym, któryby ją zbliżał do ludu i pozwolił jej skutecznie oddziaływać na niego. Ażeby zaś szlachta mogła wypełnić to zadanie, potrzeba, ażeby inicjatywę i bodźca w tym kierunku dawała jej demokracja emigracyjna, tylko nie w taki sposób, jak się to dotychczas zwyczajnie działo, nie w sposób, który obrażał uczucia narodowe szlachty przez pogardę lub lekceważenie narodowości polskiej i bezwzględne, ślepe naśladowanie wzorów obcych w polityce.

Ostatecznie ideologia Goszczyńskiego w czasach pisania *Memorjału* i *Króla Zamczyska* nie odbiegała tak daleko od ideologii Krasińskiego, jako autora *Psalmu miłości* i t. zw. *Niedokończonego poematu*, jakby się to napozór zdawać mogło. Prawda, że hasło Krasińskiego »z szlachtą polską polski lud« wyznaczało ludowi wobec szlachty drugorzędne stanowisko, ale i Goszczyński narazie godził się na ten stosunek, skoro wierzył, że tylko szlachta mogła ten lud pociągnąć do powstania i natchnąć go duchem obywatelskim. Te zaś gromy, które w *Niedokończonym poemacie* Krasiński ustami Aligiera ciska przedstawieliowi czerwonej demokracji emigracyjnej, Pankracemu, pytania jego, czemu by on, Pankracy był i ktoby głosu jego za ludem słuchał, »gdyby nie Chrobrych miecz, Jadwigi niepokalaność, Zygmunatów mądra miłość, Batorych hart« i t. d., dobrze się godzą

i z przestrogi, które dawał Goszczyński Centralizacji Demokratycznej w *Memorjale*, i z duchem powieści, której bohater przejęty jest aż do obłąkania najgłębszą czcią dla wielkiej przeszłości narodu.

III

WPLYW POEZJI MICKIEWICZOWSKIEJ

Pomysł *Króla Zamczyska* jest oryginalny, wysnuty, jak wskazano wyżej, z własnych przeżyć i wspomnień poety, jego własną ideologją wykarmiony, ale jak w *Zamku Kaniowskim*, tak i tutaj poezja Mickiewicza w rozwinięciu szczegółów zostawiła ślady, i to jeszcze wyraźniejsze, niż w tamtym utworze, ślady tego silnego wrażenia, jakie ona na umyśle Goszczyńskiego, w kolei pojawiania się różnych jej utworów, wywierała. W *Zamku Kaniowskim* najwyraźniej się uwydatnił wpływ *Grażyny*, w *Królu Zamczyska* najwyraźniej odzywają się echa czwartej części *Dziadów*. Pochodzi to stąd, że bohaterowie tych dwu ostatnich utworów są sobie pokrewni: obaj są ludźmi obłąkanymi, obaj wobec otoczenia, władającego rozsądkiem, zajmują podobne stanowiska. Różnica między nimi ta zachodzi, że Gustawa do obłąkania doprowadziła miłość pięknej kobiety, którą uważał za duszę przeznaczoną dla siebie od Boga, a tylko przez ludzi mu odebraną, — Machnickiego w obłąkanie wprowadziła namiętność zwrócona do wspaniałych ruin zamku, które stały się dla niego uosobieniem, wcieleniem całej wielkiej przeszłości narodu i wymagały od niego, aby się uznał za króla nad nimi panującego.

Ale, mimo tej różnicy, i sam Machnicki spostrzega podobieństwo jednego rodzaju miłości do drugiego. Pewnego razu musiał na jakiś czas odjechać w dalsze strony. »To oddalenie dopiero przekonało mię, że byłem zakochany w zamku. Tęskniłem za nim, jak za kochanką. Co noc we śnie go widziałem, niekiedy z całym urokiem kobiecej piękności«.

To podobieństwo duchowe między Gustawem a Machnickim poprowadziło do przeniesienia niektórych szczegółów z postaci pierwszego na drugiego. W *Dziadach* dzieci u księdza, z początku przerażone pojawieniem się pustelnika, potem śmieją się z jego ubioru.

Czemu waspan tak jesteś dziwacznie ubrany?

.....
Z różnych kawałków sukmany,
Na skroniach trawa i liście

.....
Różne paciorki, wstążek okrajce
Cha, cha, cha, cha!

W *Królu Zamczyska* Goszczyński powiada, że przy spotkaniu się z Machnickim w ruinach zamku uderzył go jego »strój osobliwy«. Wprawdzie suknie same »nie wydawały pomieszanego umysłu; zato szersze były dodatki do ubioru. Na głowie miał kapelus, otoczony wieńcem z gałązek róż dzikich, okrytych napół rozwiniętym kwiatem, gałązka świerku sterczała zamiast kity, piersi całe okryte były to rozmaitemi kwiatkami polnemi, to liśćmi...« W scenie uroczystej posłuchania Machnicki »odziany był suknią zrobioną krojem hiszpańskim z latek rozmaitej barwy«; na głowie, jako na

stępcę Stańczyka, miał czapkę trefnisią, której u Gustawa nie widzimy, ale tę czapkę »otaczał na czole uwiedły wieniec z gałązek dzikiej róży«, co znowu jest w stylu Gustawa. Gustaw przechowuje listek cyprysowy, który otrzymał z rąk ukochanej przy pożegnaniu z nią, jako najdroższą pamiątkę, nosi go przy sobie na piersi i chce go pokazać księdzu. Machnicki nosi także na piersi, jako najdroższą pamiątkę, listek, który uważa za pismo, wzywające go do objęcia królestwa po dawnych królach. »Ten list — powiada Król Zameczyska — chowam dotychczas jako najdroższą pamiątkę nowego mojego życia. Jest to niejako dyplom mojej królewskości. Powinieneś go widzieć.« »To mówiąc (opowiada Goszczyński), odemknął wiszący na jego piersiach medaljon, kazał się zbliżyć, i podał mi z uszanowaniem nie innego, tylko uwiedły czerwony listek, stoczony w połowie przez owady«.

Są inne jeszcze analogje, zbliżające do siebie tych dwu bohaterów obłąkanych. Gustaw, który »zna żywot Heloisy«, a także »ogień i łzy Wertera«, książkom, podobnym do tych, przypisuje wybujałość swojej namiętności:

Młodości mojej niebo i tortury!
One zwichnęły osadę mych skrzydeł!

I wyłamały do góry,

Że już nie mogłem na dół skrócić lotu.

Kochanek przez sen tylko widzianych mamideł,
Nie cierpiąc rzeczy ziemskich nudnego obrotu,
Gardzący istotami powszedniej natury,
Szukałem, ach, szukałem tej boskiej kochanki,
Której na podświetlonym nie bywało świecie.

Lecz gdy w czasach tych zimnych niema ideału,
Przez terażniejszość w złote odleciałem wieki,
Bujałem po zmyślonem od poetów niebie...

Gdy zaś nareszcie znalazł na ziemi tę wymarzoną
kochankę, jej obraz tak się wyrył w jego sercu i wy-
obraźni, że ją wszędzie, i tylko ją, widział.

Jeden tylko obrazek na zawsze wryty,
Czy rzucam się na piasek i patrzę w głąb ziemną,
Błyszczy jak księżyc w wodzie odbity:
Nie mogę dostać, lecz błyszczy przedemną;
Czyli wzrokiem od ziemi strzelę na błękity,
Za moim wzrokiem dokoła
Płynie i postać anioła,
Aż na górne nieba szczyty.
Potem jak orlik na żaglach pierza
Stanie w chmurze i z wysoka,
Nim sam upadnie na zwierza,
Już go zabił strzałą oka;
Nie wzrusza się i zlekka w jednym miejscu chwieje,
Jakby uplątany w sidło,
Albo do nieba przybity za skrzydło.
Tak właśnie ona nademną jaśnieje.

Te dwa motywy: wpływ lektury i opanowanie
wyobraźni przez jeden obraz, rzucone oddzielnie w czwar-
tej części *Dziadów* (w. 156—170, a potem w. 596—611),
odbily się, złączone z sobą, w jednym ustępie *Króla Zam-
czyska*, i to w taki sposób, że drugi motyw poprzedza
pierwszy. Na początku swojej spowiedzi przed autorem
powieści (w rozdziale *Historja Machnickiego*) Machnicki
powiada, jak to już zaznaczyłem wyżej jego własnymi
słowami, że oddalenie się w pewnej sprawie z okolic
zameczyska przekonało go, iż był w tym zamku zako-

chany. Pociągany tęsknotą i niepokojony smutnemi przecuciami, wrócił, »urwawszy liche interesa«, dla których się oddalił, a które nie miały żadnego związku z jego najskrytszemi marzeniami. Wróciwszy, znalazł zamek w jeszcze większym upadku, co go napełniło smutkiem. »Ale też odtąd jeszcze mocniej zacząłem przywiązywać się do mojego zamku; zacząłem wchodzić z nim w znajomość jeszcze bliższą. Dusza coraz wyraźniej ku niemu lgnęła; przeznaczenie ciągnęło mnie ku niemu coraz częściej. Po całych dniach przypatrywałem się jemu, całe nieraz noce w nim przepędzałem... A kiedy nie mogłem być w nim, albo nań patrzeć, to miałem obraz jego w głowie, jak wciśniony na mózgu. Z porządku rzeczy reszta świata poczęła mię coraz bardziej nudzić. Nie znajdowałem już rozrywki, tylko w książkach, a między książkami jedynie w starych kronikach. Czytanie kronik robiło na mnie skutek, jaki robi na zakochanym czytanie romansów. Każdy szczegół dziejów, każda chwała, każda klęska, zmierzały do mojego zamku, jak promienie do jednego ogniska«.

Obok reminiscencyj z czwartej części *Dziadów* słyszemy w *Królu Zamczyska* także i echo *Pieśni Wajdeloty z Konrada Wallenroda*. Wajdelota wielbi potęgę pieśni ludowej, zdolnej wskrzeszać w wyobraźni słuchacza w gruzy zapadłą przeszłość:

Jako w dzień sądny z grobowca wywoła
 Umarłą przeszłość trąba archaniola,
 Tak na dźwięk pieśni kości z pod mej stopy
 W olbrzymie kształty zbiegły się i zrosły.
 Z gruzów powstają kolumny i stopy,

Jeziora puste brzmia licznemi wiosły,
 I widać zamków otwarte podwoje,
 Korony książąt, wojowników zbroje,
 Śpiewają wieszczę, tańczy dziewic grono...

Podobną grę wyobraźni znajdujemy w powieści Goszczyńskiego. Dla Machnickiego ta zdolność marzenia na jawie, kiedy jest wśród gruzów swego zamczyska, jest stanem ciągłym; samemu autorowi powieści udziela się ona, pod wpływem wizyj poetyckich jego bohatera, chwilowo. I tu reminiscencja *Pieśni Wajdeloty* jest widoczną. »Kupa gruzu — powiada Goszczyński — przemieniła się dla mnie w zamek, jaki był przed wiekami; ściany się podniosły w rozgrody pokojów starożytnych, wysokich, chmury opadły jak sklepienia, wyciągnęły się długie korytarze, wyrosły z ziemi kolumny, a na nich rozwinęły się krużganki, okna pojrzały różnobarwnemi szybami, cały gmach odetchnął przeszłym życiem, w każdej części zmartwychwstały ślady mieszkańców... Nie spotykamy wprawdzie nikogo, wszędzie pusto i głucho, ale ta pustka, ta cisza, są chwilowe: pan zamku wyjechał gdzieś z całym dworem, ale wróci«. I tu poeta podkreśla swoje pokrewieństwo duchowe z bohaterem powieści: »W możność takiego złudzenia nie wszyscy uwierzą; są, którzy je pojmą: krótko trwa ono, ale się przytrafia obłąkanym i poetom«.

Nawiasowo wreszcie należy tu zaznaczyć, że wpływ poezji Mickiewiczowskiej objawił się i w dwu innych powieściach Goszczyńskiego, utworzonych już po *Królu Zamczyska*, mianowicie w *Annie z Nabrzeża*, napisanej w r. 1840, i w *Strasznym Strzelcu*, o rok późniejszym od niej. *Anna z Nabrzeża* była owocem niefortunnego po-

mysłu autora, aby cudowną balladę Mickiewicza, *Uciezkę*, polską *Lenorę*, jeden z najpiękniejszych klejnotów naszej poezji romantycznej, przenieść na tło historyczne wieku XVII, obrać jej temat z wszelkiej cudowności i utworzyć z tego poemat o szerokim zakresie epickim i niejasnym sensie moralnym. W *Strasznym Strzelcu* stało się odwrotnie: tam oblana pełnem słońcem Soplicowskiem gra Jankiela z *Pana Tadeusza*, opowiadająca za pomocą stosownie dobranych melodyj i akordów wstrząsające przeżycia narodu w przełomowej chwili jego dziejów, między Konstytucją 3-go maja a wkroczeniem armji napoleońskiej na Litwę, przeniesiona została, w rozszerzonym pomysle, na tło przyrody tatrzańskiej i góralskich wierzeń mistycznych i połączona z myślą propagandy narodowej wśród ludu. W myśl tej propagandy skrzypek, nazwany Stachem, w którego autor włożył niewątpliwie swoje własne intencje i swoją miłość dla ludu, chce za pomocą muzyki wtajemniczyć górali w całą przeszłość narodu, sam zaś tytułowy bohater powieści, wzięwszy z rąk Stacha skrzypce, czarodziejską swoją muzyką uzupełnia grę jego i w pewnej przerwie koncertowej tak objaśnia góralom różnicę między treścią muzyki swego poprzednika a swoją:

Słuchacie grania, ale czy rozumiecie? Czy wy się domyślacie, że w graniu Stacha patrzaliście na matkę waszych pradziadów, na waszą własną matkę, na matkę Polskę, na jej życie przez tysiąc lat? A to granie tak wam o niej gadało: Była ona wielka, szczęśliwa, sławna; prowadziła wojny w imieniu Boga prawdziwego i dla szczęścia bliźnich. Przyszedł szatan dumy i rozpusty, rozdzielił naród na panów i chłopów, oddał w ręce panów życie narodu i szczęście chłopów, natchnął jednych nienawiścią dla drugich, odebrał

rozum jednym i drugim, wzbudził potem nieprzyjaciół obcych i wszystkich oddał im w kajdany. Polska pogrzebiona. To wam Stach skrzypcami powiedział. Nie powiedział wszystkiego. Polska w grobie, ale żyje. Zagrzebano ją żywcem. Głosu jej nie słyhać na ziemi, ale pod ziemią. Słyszeliście go na własne uszy w mojem graniu. Teraz patrzajcie, jak zmartwychwstanie.

To objaśnienie czarodziejskiego strzelca dobrze się godzi z duchem *Memorjatu* Goszczyńskiego dla Centralizacji Demokratycznej i z duchem powieści *Król Zamczyska* i jest jakby komentarzem do nich. Co się tyczy transpozycji motywu Mickiewicza, t. j. muzyki opowiadającej dzieje, z jednego tła na drugie, to transpozycja ta, pomimo iż autor przyplątał tu jeszcze inny, nie związany z nią motyw, odbyła się daleko szczęśliwiej, niż w *Annie z Nabrzeża*. Mistyczna postać strzelca jest tu na swoim miejscu, a realistycznie traktowane rozmowy górali o nim są wdzięcznem tłem dla fantastycznej postaci czarodzieja-grajka.

IV

STRONA ARTYSTYCZNA »KRÓLA ZAMCZYSKA«

Już z tego, co się wyżej mówiło o genezie tej powieści, można wywnioskować, że ma ona wogóle charakter symboliczny, a poczęści nawet alegoryczny. Ten ostatni występuje wyraźnie w końcowych opowiadaniach Machnickiego o losach zamku, odpowiadających kategorycznie wielkim katastrofom narodowym. Alegoryczność jest, jak wiadomo, wielkiem niebezpieczeństwem dla poezji, jeżeli, będąc sama dla siebie celem, wszechwładnie zapanuje nad twórczością poety.

Małą, ale dosadną próbkę jej martwoty w takim razie dał Krasicki w swojej *Historji kamienicy w Kukurowcach*, gdzie cała historia Polski aż do wstąpienia na tron Stanisława Augusta wyobrażona jest alegorycznie w losach pewnej małomiasteczkowej kamienicy, wyobrażona z suchością protokolarnego sprawozdania. Alegoryczności, którą wprowadził Goszczyński do *Króla Zamczyńska* nie groziło takie niebezpieczeństwo, bo ją autor owiał głębokiem przejęciem się tragicznemi losami narodu, których była wykładnikiem, a przedewszystkiem podawał ją nie bezpośrednio od siebie, ale jako wytwór przecuciowego nastroju swego obłąkanego bohatera, tak, że stanowi ona część jego charakterystyki, samej powieści nie obarczając. Co się zaś tyczy symboliczności postaci Machnickiego, która, jak już wyżej wspomniano, była wyrazem wieloletnich wyteżeń patriotycznego ducha Polaków ku odzyskaniu ojczyzny, to niebezpieczeństwo, które z tej strony grozić mogło artystycznemu wykonaniu pomysłu, usuwał właściwy Goszczyńskiemu instykt realistyczny w sferze twórczości poetyckiej. Goszczyński kreślił postać swego bohatera podług żywego modelu, więc choć go naturalnie idealizował, nie tracił jednak poczucia z rzeczywistością i przez to czynił go zajmującym i wyciskał na nim piętno prawdy artystycznej.

Jak w *Zamku Kaniowskim*, tak i tutaj talent Goszczyńskiego uwydatnił się przedewszystkiem w budowie całości, choć całość tutaj pod względem składowych elementów była bardzo różną od tamtej. Tam chodziło, jak to już wskazywał Mochnecki, o ruch mas roznamiętnionych, tutaj akcja jest czysto wewnętrzną,

odbywa się w duszy jednego człowieka, opanowanego jedną namiętnością, która doprowadza go do obłąkania. Ale jak tam, tak i tutaj, wrażenie, które całość wywiera na czytelnika, jest potężne, a bardziej niż w młodzieńszym utworze harmonijne, bo wolne jest od tych zgrzytów, w które *Zamek Kaniowski* w swojej końcowej części obfituje.

Powieść składa się z ośmiu, bardzo nierównych rozdziałami, rozdziałów, z których każdy jednak ma należyte uzasadnienie swojej odrębności. Pierwszy (*Machnicki warjat*) ma za treść wrażenie, jakie wywarł na poecie zamek odrzykoński z pewnego oddalenia, przed jego poznaniem, i związana z tem charakterystyka króla odrzykońskiego, podana ustami gościnnej gospodyni domu, w którym chwilowo bawił Goszczyński, charakterystyka, która jest wyrazem ogólnej opinii sąsiedztwa o warjacie Machnickim. Rozdział drugi (*Imieniny*), do którego pierwszy jest wybornem przygotowaniem, wprowadza na scenę powieści bohatera wraz z owem sąsiedztwem, które już zgóry ma nadzieję zabawić się kosztem jego. Autor ma tu sposobność przedstawić wzajemny stosunek do siebie warjata i otoczenia jego i zarysować swoje stanowisko wobec sympatycznej dla siebie postaci Króla Zameczyska. (W rozdziale trzecim (*Zameczysko odrzykońskie*) Machnicki oprowadza Goszczyńskiego po gruzach zamku, tłumacząc mu tajemne ich znaczenie, przyczem poeta coraz bardziej zyskuje zaufanie obłąkanego. W rozdziale czwartym (*Podziemie*) zaufanie to dochodzi do tego stopnia, że warjat Machnicki wprowadza gościa do swego tajemnego, nikomu nieznanego, podziemnego mieszkania i pozwala mu najdokładniej

się z niem obeznać. Następny rozdział (*Historja Machnickiego*) stanowi kulminacyjny punkt powieści. Machnicki daje tu uroczyste królewskie posłuchanie poecie, opowiada mu dzieje swojego ducha. Patos gorącego serca przy obłąkanej wyobraźni króla zameczyska dosięga tu najwyższego szczytu, wizje jego obłąkanej wyobraźni rozkwitają najwspanialszym blaskiem. Rozdział szósty (*Dalszy ciąg historji Machnickiego*) wyodrębniony jest od poprzedniego, ponieważ ma szczególne zadanie: wskazać, jak po upadku powstania listopadowego jedyna nadzieja przyszłości Polski spoczywa na ludzie. Dwa ostatnie krótkie rozdziały (*Pożegnanie* i *Zakończenie*) mają już podrzędne znaczenie, służą do zaokrąglenia całości.

Proza Goszezyńskiego w tej powieści, pomimo iż symboliczno-alegoryczny element gra w niej znaczną rolę, nie ma nic w sobie koturnowości, która tak często nas razi w prozie poetyckiej Krasieńskiego. Technie ona tutaj jednością, prostotą, szczerością, i temi zaletami podbija czytelnika. W jej zwierciadle postać bohatera odbija się doskonale w podwójnym swoim charakterze: człowieka do głębi przejętego nieszczęściami swego narodu i gotowego poświęcić wszystkie siły swoje dla sprawy jego wyzwolenia, i obłąkańca, opanowanego monomanią królewskości, która go obarcza ciężarem fikcyjnych obowiązków. Ten ostatni charakter zaznacza zwykle Goszezyński w krótkich słowach, ale tem silniejsze wrażenie sprawiają te słowa. Jako przykład przytaczam to, co mówi Machnicki Goszezyńskiemu na początku rozdziału *Pożegnanie*. Przed chwilą ukazał się był pułchacz w oknie podziemia, zwrócił na siebie całą uwagę Machnickiego i przerwał jego pełną głębokich

uwag rozmowę z poetą. Machnicki porwał się ze swego siedzenia, ukrył się za zasłonę i tam dłuższy czas przebywał, a kiedy wreszcie wyszedł stamtąd, w taki sposób przemówił do poety: »Daruj, daruj... że tak nagle przerwałem posłuchanie. Sprawy państwa przedewszystkiem, nieprawdaż? Oznajmiono mi ważną naradę, dziś jeszcze, wkrótce. Wszak słyszałeś tego ptaka? Nie bierz więc mi za złe, że się musimy rozstać. Sprawy publiczne przedewszystkiem«.

Przy swojej zwięzłości styl Goszczyńskiego w *Królu Zamczyska* odznacza się nieraz wielką malowniczością. Szczytem mistrzostwa pod tym względem jest ustęp, w którym Machnicki opowiada poecie, jak się odbył ostateczny przełom w jego istocie duchowej, to jest, w jaki sposób stał się warjatem. Była chwila, kiedy chciał się oprzeć tajemnemu pociągowi swemu do zamczyska i odgrodzić się od niego, z najwyższym wysiłkiem woli, za pomocą wyteżonej pracy biurowej.

Interes urzędowy był pilny, praca trudna i długa. Przejąłem się całą ważnością mojego urzędu. Trzy dni i trzy nocy pracowałem, z małemi przerwami dla jedzenia i snu. Przez cały ten czas liczbami tylko myślałem, tak, że wkońcu wszystkie myśli zamieniły się w liczby; liczby układały mi do snu i budziły, na jawie jak we śnie liczby latały przed oczyma, w którąkolwiek stronę oczy obróciłem. Nic nie słyszałem, nic nie widziałem dokoła siebie, oprócz przedmiotu mojego zatrudnienia. Aż wkońcu... pamiętam całą scenę, jakby się powtarzała w tej chwili; odtąd wszystko już dobrze pamiętam. Było to trzeciej nocy, bardzo późno, może w godzinę po północy. W okna bił deszcz ze śniegiem i wiatr przeraźliwie zawodził. Zresztą wewnątrz domu cicho, jak żeby wszystko umarło. Czulem wycieńczenie z pracy; zdawało się, że siły ostatnie mię opuszczają. Nie przestawałem

jednak pisać, ale głoski i liczby wiły się po papierze, zrywały się z pod pióra, krążyły w oczach jak rój owadów; wiersze całe snuły się w różnych kierunkach, jak te wstażki ognia, kiedy dziecię rozżarzonem łuczywem w różne strony macha. Straciłem z oczu świecę, zgadywałem tylko jej palanie po nagłych, przykrych zmianach, to rażącego blasku w ciemność, to ciemności w blask. Naraz całe pisanie zerwało się z papieru, uderzyło na mnie z szumem i wściekłością pszczoł rozdrażnionych, obsypało mię całego, wgryzało się w oczy, dzwoniło w uszach, osiadało na mózgu. Chciałem się porwać, upadłem nazad na krzesło bez siły; w tej chwili zupełna ciemność zaległa pokój; powieki spadły na oczy same z siebie, jak skrzydła postrzelonego na śmierć ptaka«. [Machnicki uczuł dziwną błogość w duszy]. »Wtedy zgasł i umarł we mnie dawny człowiek, a narodził się nowy«.

Ten obraz walki resztek trzeźwego poglądu Machnickiego na życie z rosnącą namiętnością dla gruzów zamczyska i rosnącą wiarą w królewskie powołanie, walki zakończonej zupełnem zwycięstwem obłąkania nad poczuciem rzeczywistości, technie taką siłą i prawdą, że chce się wierzyć, iż nie wypłynął on z czystej fikcji poety, ale zaczerpnięty został z autentycznych wynurzeń bohatera powieści. Ale gdyby tak nie było, gdyby ten obraz był niepodzielnym tworem wyobraźni samego poety, tem więcej musielibyśmy podziwiać intuicję jego w przedstawieniu patologicznego stanu duszy jego bohatera w chwili przełomowej.

V

GOSZCZYŃSKI I MATEJKO

Król Zamczyska pojawił się na horyzoncie literatury polskiej emigracyjnej (1842) w niedobłą dla siebie porę: w rok po wystąpieniu publicznem w Paryżu mistrza

Towiańskiego, które prawie całą uwagę emigracji ku sobie pociągnęło. Toteż pojawienie się tego utworu przeszło bez wrażenia, jego wartość artystyczna i ideowa nie była doceniona ani wtedy, ani potem, można powiedzieć, aż do obecnej chwili. Najbardziej dziwić może, że Mickiewicz, który przecież znać musiał ten utwór, nie zrobił o nim żadnej wzmianki w swoich prelekcjach paryskich, choć cytował *Zamek Kaniowski* i bardzo słabe pod względem artystycznym *Przeznaczenie Genjusza* i choć był jednym z najściślej związanych przyjaźnią z Goszczyńskim.

Jak w krytyce, tak było i w literaturze polskiej. Nie dostrzegamy w żadnym jej utworze śladów jakiegoś wpływu, jakiegoś echa *Króla Zamczyńska*. Ale to, czego nie daje literatura, znaleźć można — tak się domyślam — w malarstwie polskim, mianowicie w obrazach Matejki. Główną podstawą domysłu, że *Król Zamczyńska* swoją treścią i swojemi obrazami wywarł wielkie wrażenie na młodym Matejce i zostawił ślady wpływu na kierunku ideowym jego historycznego malarstwa, jest ta szczególna rola, jaką Matejko wyznaczył w swojej produkcji malarskiej postaci Stańczyka. Już w r. 1853 zwraca się do niej myśl piętnastoletniego Matejki; w r. 1862 maluje on obraz, przedstawiający Stańczyka w stroju błazeńskim, który zbolęły, stroskany, siedzi samotny w pokoju, przytykającym do wielkiej otwartej sali, gdzie dwór królowej Bony oddaje się wesolej zabawie tanecznej. Temu Stańczykowi daje on własną twarz, a więc zespala się z nim w uczuciach. We dwadzieścia lat potem (1882) wprowadza znowu Stańczyka na tło jednego ze swoich obrazów (*Hold pruski*), i dając

mu wyraz twarzy odmienny od poprzedniego, twarz jednak, jak w poprzednim obrazie, znów daje mu swoją. W pierwszym z tych dwu obrazów twarz ta wyraża boleść z powodu utraty Smoleńska i tworzy kontrast z lekkomyślną wesołością dworu królowej Bony. W drugim obrazie, który przedstawia scenę pozornie pełną chwały dla narodu, w twarzy i postawie Stańczyka niema tego przygnębienia, co w pierwszym, — przeciwnie, jest wielkie ożywienie, ale nie jest to żywość radości, tylko żywość myśli, przenikającej złudę pozorów i równie jak przedtem, tylko w inny sposób, niespokojnej o przyszłość narodu.

Ten związek między duszą malarza a postacią Stańczyka, który Matejko zaakcentował tak silnie, zwrócił był już uwagę Stanisława Tarnowskiego, który twórczości Matejki poświęcił obszernie, z wielkim pietyzmem napisane dzieło. Tarnowski zadał sobie pytanie, dlaczego Matejko włożył w Stańczyka swoje troski patriotyczne, dlaczego dał mu całą swoją duszę.

Co za związek — pytał — co za pokrewieństwo między nim a »Zygmuntowym błaznem«. Temu tradycja przypisuje rozum zdrowy i cięty dowcip, ale nie przechowała żadnych rysów głębszego smutku. A jednak Matejko, jak później (1882) widział go ze swoją postacią, tak teraz (1862) w jego postać włożył swoje troski. Dlaczego? próżno docho- dzić, nie dojdzie się. Na domysł ledwo możnaby rzucić pytanie, czy Matejko, tak głęboki w uczuciach, a w tych czasach właśnie tak zniechęcony, zbolący, czy pośród lekkiej, bez- myślnej rzeszy nie wydawał się sam sobie istotą stworzoną z ironji losu, »Bożem igrzyskiem«, jak w rozpacz nazywa się raz Kochanowski, błaznem, że tak cierpi strasznie a na- próżno, i błaznem w mniemaniu powszednich ludzi dlatego, że tak cierpi, a oni nie? Może jego myśl była taka, może nie,

co pewna, to to, że nikt nigdy tak nie pomyślał, nie wyobraził sobie błazna¹.

To ostatnie zdanie, przezemnie podkreślone, zadziwia pod piórem takiego znawcy literatury polskiej, jakim był Tarnowski. Rzecz dziwna, że stawiając te słowa, nie przypomniął sobie Goszczyńskiego, jego *Króla Zamczyska* i występującego tam Stańczyka. Wprawdzie rola tego ostatniego w powieści nie jest dość jasna i wymaga bliższego oświetlenia, ale jest to przecież ten sam, z tradycji wzięty »Zygmuntowy błazen«, tylko weale nie z usposobieniem, jakie mu tradycja nadała, ale pokrewnem temu, jakie mu nadał Matejko.

Jakaż rolę odgrywa Stańczyk w powieści Goszczyńskiego? Jaki jest jego stosunek do głównego bohatera, do Króla Zamczyska? Stańczyk jest pośrednikiem pomiędzy wielką przeszłością a obłąkanym Machnickim, który o niej roi, który ją widzi i czuje zakłęta w gruzach odrzykońskich i który ją wskrzesić pragnie. Stańczyk wzywa Machnickiego na posłuchanie królewskie, które jest zarazem obrzędem koronacyjnym dla nowego króla, Stańczyk z polecenia Bolesława Chrobrego wprowadza go na królestwo i ma potem być na jego rozkazy, albo raczej być jego patronem i doradcą, Stańczyk wreszcie, gdy zawałiły się do reszty — po powstaniu listopadowem — górne pokoje zamczyska, wprowadza go do podziemnego mieszkania i daje mu naukę o znaczeniu tego podziemia. Jest więc Stańczyk kierowniczym duchem króla zamczyska; ich postaci są tak bliskie sobie, tak jedną myślą złączone, że prawie zlewają się

¹ Stan. Tarnowski: *Jan Matejko* — Kraków 1897. str. 63 — 64.

w jedną. Zewnętrznym wyrazem tej ich łączności, jest strój króla zameczyska, podobny do stroju królewskiego trefnisia. Różnica między nimi polega na tem, że Machnickiego przedstawił autor jako obłąkanego, Stańczyka jako jedną z jego wizyj. Jest on uzupełnieniem króla zameczyska: tamten jest przede wszystkim wyrazem głębokiej czci dla sławnej przeszłości Polski i gorącej żądz przywrócenia jej dawnej sławy, Stańczyk jest przedstawicielem nowych myśli, nowych dróg, które prowadzą do tego celu, i wyraża dążenia i troski patriotyczne samego autora.

Domyślam się tedy, że na postać Stańczyka skierował uwagę Matejki swoją powieścią Goszczyński i że go pobudził do obrania tej postaci za naczynie swoich własnych trosk patriotycznych. A nie mniej silnie musiała przemówić do wyobraźni i serca malarza i postać samego króla zameczyska, w której młody Matejko tyle własnych uczuć mógł znaleźć. Bo czyż nie był twórca *Skargi* i nieskończonego później szeregu obrazów z dziejów Polski także w swoim rodzaju Królem Zameczyska, i to takiego, które miało daleko większe prawo stać się symbolem przebrzmiałej sławy narodu, aniżeli odrzykońskie, to jest Wawelu? Czy jego wyobraźnia i jego serce patriotyczne, zrosnięte od dzieciństwa z pamiątkami Krakowa, nie ożywiało, nie wskrzeszało z martwoży nagromadzonych tu kamieni, jak to czynił Machnicki w Odrzykoniu? I czy nie miał prawa czuć się wskutek tego prawdziwym królem tego, zaklętego w kamień, świata przeszłości? Dodajmy, że ci, którzy mieli sposobność stykać się z Matejką i obserwować go zbliska, dostrzegali w nim utajone, ale nieraz mi-

mowoli przebijające się na wierzch, głębokie poczucie własnej wielkości, poczucie wielkiej roli, którą ma do spełnienia, poczucie pokrewne temu, które doprowadziło Machnickiego do obłąkania.

Na jedno jeszcze pokrewieństwo duchowe, które zachodzi między Goszczyńskim a twórczością malarską Matejki, warto zwrócić uwagę. Już w *Zamku Kaniowskim* poeta daje do zrozumienia, że stawiając przed oczy ziomków sceny okropnych mordów w przeszłości, chce ich pobudzić do zastanowienia się nad ich przyczynami, ma na oku przyszłość, chce działać wychowawczo na naród. »Syny mej ziemi, o rodacy mili! — Wy szczerej wiary nie dacie pocie — I sami pojrzeć na przyszłość nie chcecie«... tak woła w drugiej części tego poematu (w. 524 i dalsze). W *Królu Zameczyska* ta troska o przyszłość narodu, ta dążność wychowawcza, występuje daleko szerzej i wyraźniej, choć nie posługuje się tak jaskrawymi i przerażającymi obrazami, jak w tamtym poemacie. Można powiedzieć, że jest ona duszą tej powieści. Otóż w całym szeregu najwybitniejszych obrazów Matejki ta troska o przyszłość narodu staje na pierwszym ich planie i rzuca swój cień na całość malowidła. Uderza to przedewszystkiem we wcześniejszych jego obrazach historycznych, jak *Stańczyk na dworze królowej Bony*, o którego znaczeniu już wyżej była mowa, jak *Kazanie sejmowe Piotra Skargi*, w którego postać telmał Matejko cały ogień swej troski o przyszłość narodu, jak wreszcie *Rejtan*, który był może najsilniejszym jej wyrazem, a takie szemranie wywołał wśród płytkich patriotów.

Ale może ta troska o przyszłość narodu, ta dążność

wychowawcza obrazów historycznych Matejki była tylko równoległą z dążnością Goszczyńskiego, ale w żadnym z nią związku genetycznym nie zostawała? Może młody Matejko nie czytał wcale *Króla Zameczyska*? Otóż jeżeli chodzi o niezbity dowód, że Matejko znał powieść Goszczyńskiego i że go interesowała postać jej bohatera, to są nim dwa rysunki jego, przedstawiające ruiny zamku odrzykońskiego, a umieszczone w *Tygodniku Ilustrowanym* z r. 1866 (Nr. 362) z podpisem: »rysował z natury Jan Matejko«. Na jednym z tych rysunków, u stóp małowniczo piętrzącej się wieży, widzimy postać z bujnym, rozwianym włosiem, z wyrazem obłąkania czy natęgnięcia w twarzy, postać, która, jako jedyna w całym rysunku, musi niewątpliwie przedstawiać Króla Zameczyska, jak on się wyobraził znakomitemu malarzowi po odczytaniu powieści Goszczyńskiego. Ta postać z twarzą pełną ognistego wyrazu jest zupełnem przeciwieństwem do portretu Machnickiego, który nam przekazał Prosper Konopka. W tym ostatnim widzimy Króla Zameczyska zwróconego twarzą do tych zwyczajnych ludzi ze swego otoczenia, którzy poza interes prywatny, rodzinny, nie wybiegali myślą, a jego, ponieważ utopił swój rozum w trosce o naród, uważali tylko za śmiesznego warjata; jest też w tej twarzy wyraz szyderstwa i wzgardy. W rysunku Matejki postać ta, widziana przez pryzmat wyobraźni i uczucia poety, odsłania nam to, czego nie ma w akwareli Konopki: głębię uczucia patryjotycznego w obłąkanym królu.

BIBLIOGRAFJA

Już przy wydaniu *Zamku Kaniowskiego* w »Bibliotece Narodowej« (Nr. 44) podałem wiadomości bibliograficzne, dotyczące nie tylko tego utworu, ale i w ogóle twórczości Goszczyńskiego. Tutaj wypada mi niektóre z nich w skróceniu powtórzyć i uzupełnić takimi, które specjalnie dotyczą *Króla Zamczyska*. Otóż powtarzam, że osobnej monografji, poświęconej Goszczyńskiemu i jego poezji, literatura nasza nie posiada, i że tym, który najwięcej pracował około zgromadzenia materiałów do takiej monografji, jest Zygmunt Wasilewski, wydawca najpełniejszego zbioru pism Goszczyńskiego w czterech tomach p. t. *Dzieła zbiorowe Seweryna Goszczyńskiego* (Nakład Altenberga, Lwów 1910). W czwartym tomie tego wydania podana jest szczegółowa i chronologicznie ułożona bibliografja wszystkich pism Goszczyńskiego i bibliografja źródeł biograficznych, doprowadzona do roku 1910. Ponadto trzeba uwzględnić prace obecnego wydawcy *Króla Zamczyska* o Zaleskim i Słowackim, gdzie są obszernie ustępy poświęcone Goszczyńskiemu, a mianowicie: *Bohdan Zaleski do upadku powstania listopadowego*, Kraków 1911 (rozdział II, III, VI, VIII, X i XII), *Bohdan Zaleski na tułactwie*, Kraków 1913—1914 (Cz. I, rozdz. II i Cz. II, rozdz. I, III, IV i IX) i *Juljusz Słowacki, historia ducha poety i jej odbicie w poezji*, Kraków 1904 (rozdz. XIII, XIV i XXII).

Co się tyczy *Króla Zamczyska*, to z sądów wypowiedzianych o tym utworze dwa się uwydatniają, jako odbiegające od powszechnej opinji o nim. Jednym z nich jest sąd prof. Tarnowskiego w jego *Historji literatury polskiej* (Kraków 1900 T. V str. 213—216), drugim jest to, co powiedział prof. Zdziechowski w swoim dziele *Byron i jego wiek* (II 519). Prof. Tarnowski twierdzi, że *Król Zamczyska* nie jest »tak pięknym, jako poezja, tak głębokim, jako alegorja, jak o nim mówią«. Podawszy szczegółowo wyjaśnienie symbolicznej i alegorycznej strony powieści, autor dochodzi do wniosku, że »jest to nie tylko manifest rewolucyjny, ale i program republikański«. Jakkolwiek określenie to właściwie odpowiada treści jednego tylko z końcowych rozdziałów (*Dalszy ciąg historii Machnickiego*), a pomija to, czem jest nabrzmiała cała powieść: cześć dla wielkiej przeszłości narodu, — to jeszcze,

z tem zastrzeżeniem, zgodzić się na nie można. Ale kiedy krytykując artystyczną stronę powieści, tenże autor o jej bohaterze powiada, że »fanatyczny miłośnik zamku jest we wszystkim, co mówi, zimny, czezy i prozaiczny, jak jaki publicysta ówczesnego Towarzystwa Demokratycznego, siłacy się na zapała«, to na to zgodzić się trudno, i myślę, że sam autor byłby się wstrzymał od tej krytyki, gdyby przed jej napisaniem poznał współczesny *Królowi Zamczyjska* Memorjał Goszczyńskiego o Galicji, zarysowujący bardzo wyraźnie różnicę poglądów między Goszczyńskim a Centralizacją Towarzystwa Demokratycznego na znaczenie narodowości polskiej dla przyszłości narodu polskiego.

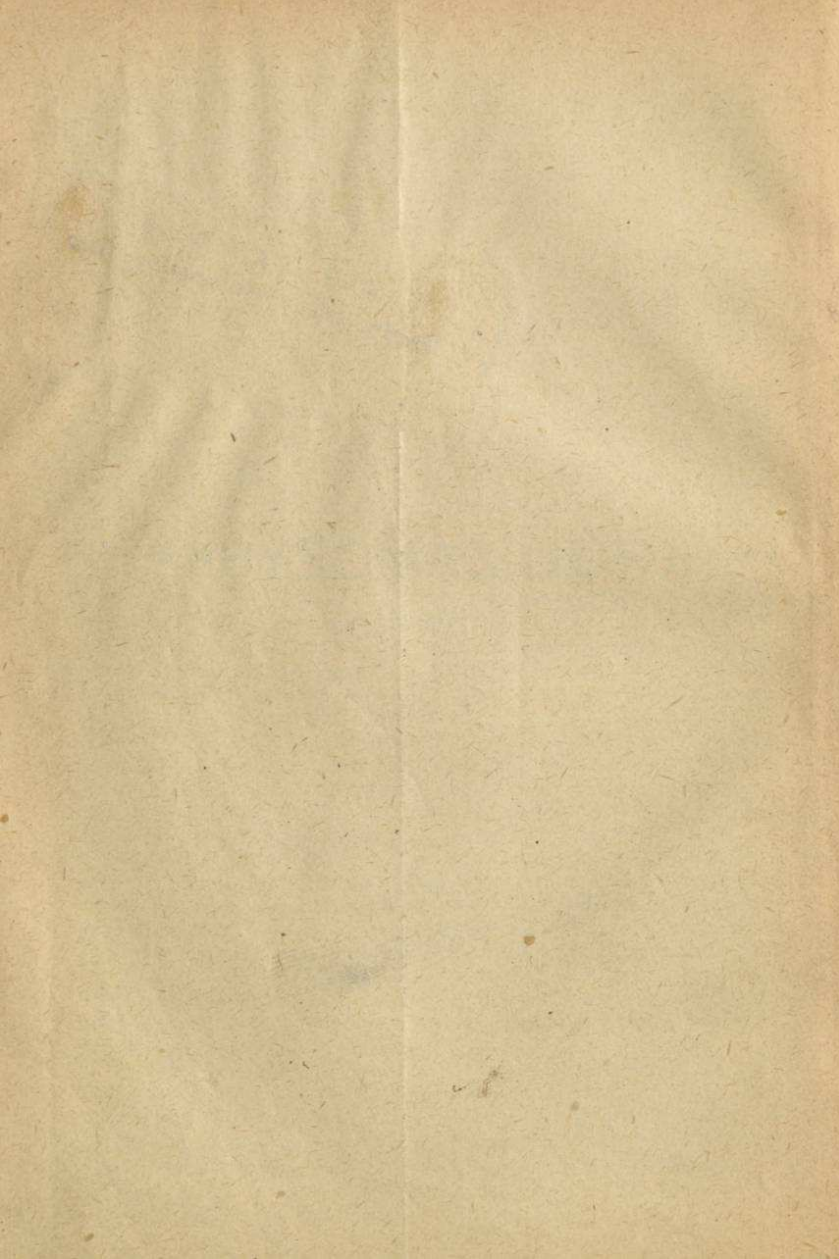
Prof. Zdziechowski we wskazanem dziele wystąpił z oryginalnym, ale niedość uzasadnionym poglądem na znaczenie *Króla Zamczyjska*. Podług niego utwór ten ma być krytyką mesjanizmu polskiego, ponieważ Goszczyński przedstawił Machnickiego jako warjata, przeciwstawiając go realnie patrzącemu na świat otoczeniu. »Zrozumiał on (Goszczyński), że ideał Machnickiego zostawał w żywej sprzeczności ze światem rzeczywistym, że ludzkość, skąpana w „morowem powietrzu zimnego rozumu” nie była zdolna rządzić się samą miłością i że przeto wobec tej smutnej prawdy traciła rację bytu owa namiętna miłość ojczyzny, nie licząca się z terażniejszością, zapatrzona w przeszłość, krzesząca z niej myśl dziejów narodowych, usiłująca świat cały do myśli tej nawrócić... jednym słowem miłość, która znajdowała swój wyraz w mesjanicznym ideale wieszczów naszych«. Otóż pomijając już to, że właściwie mesjanicznego pierwiastku w *Królu Zamczyjska*, poza jedyną końcową aluzją do *Ksiąg narodu polskiego*, niema wcale, zgodzić się na przypuszczenie prof. Zdziechowskiego, że autor tej powieści chciał poddać krytyce ideały Machnickiego, nie można z tego prostego powodu, że Goszczyński nie zostawił żadnej wątpliwości co do swojej intencji w tym względzie. Przedstawił on wprawdzie Machnickiego jako obłąkanego, ale jego obłąkaniu, albo raczej pobudkom, z którego ono wypłynęło, przyznał bezwzględna wyższość nad usposobieniem jego trzeźwego otoczenia. Oto są jego słowa w *Zakończeniu* powieści, do tego otoczenia zwrócone, z którymi trudno się spierać: »O! gdybyście wy wszyscy takiego pomieszania dostali, ludzkość byłaby mędrsza, szczęśliwsza, niż jest dzisiaj«.

Wydanie obecne *Króla Zamczyjska* opiera się na pierwodruku (Poznań 1842) i na tekście w edycji lipskiej *Dziela Seweryna Goszczyńskiego* z r. 1870, jako przejrzanym i poprawionym przez autora. W przypiskach wskazano nieliczne, ale czasem ważne różnice, zachodzące między tekstami.



KRÓL ZAMCZYSKA

POWIEŚĆ



I

MACHNICKI WARJAT

Poezja jest wszędzie, w każdej chwili, jak bóstwo, nikomu nie wzbronna, jak zbawienie, jak uczciwa sława. Nawet nasz wiek, tak osławiony, tak okrzyczany prozaicznym, nawet nasze pokolenie, odsądzone od czci i wiary przez idealistów, mają swoją poezję. Nie jest ona wprawdzie ani rajska,¹ ani homeryczną, ani romantyczną, ale jest tak dobrą, jak wszystkie starsze jej siostry, jest poezją swojego czasu. Nie potrzeba jej daleko szukać, nie potrzeba jej uganiać poza obrębem dzisiejszej ludzkości, nie potrzeba jej sobie wymyślać; jest ona pomiędzy nami, w sferze naszego życia, naszych ludzi, w postaciach najpowszedniejszych.

O! ileż to razy zdarzyło mi się słyszeć, widzieć, być nawet uczestnikiem takich spraw, że największy poetyczny genjusz nieby poetyczniejszego wymyślić nie potrafił, że obok nich wszystkie utwory wyobraźni były poronionym płodem, obudzały niesmak w czytaniu. Dlatego przenosiłem zawsze towarzystwo ludzi nad towarzystwo książek, przyrodę nad bibliotekę. Chwile, przeżyte pod wpływem takiej poezji, stanowią najdroższy zapas najmilszych w mojem życiu wspomnień²: mam je z każdej epoki moich dziejów, a epoką najobfitszą może w taką poetyczność jest ostatni mój pobyt w krainie

¹ Przez *poezję rajska* rozumie zapewne Goszczyński opowiadania biblijne o stworzeniu pierwszych ludzi i o raju.

² W pierwodruku stale: wspomnienie, spominać.

podkarpackiej; do niej należy zdarzenie, które tu chcę opowiedzieć.

Badanie mojego kraju pod każdym względem jest wrodzoną mi namiętnością, a widok okolic szczególniejszy ma dla mnie urok, mocniejszy niemal, niż znajomości z ludźmi. Pod takim bodźcem, przebiegając wzdłuż i wszerz Galicję, znalazłem się w obwodzie Jasielskim, w okolicy Krosna, nad brzegami Wisłoka. Nie każdemu zapewne z moich braci wiadomo, że Podgórze galicyjskie ukrywa miejsca najpiękniejsze w Polsce; trochę więcej oświaty, trochę więcej dobrego bytu między mieszkańcami, korzystniejsze cokolwiek położenie względem innych krain, a miałyby nieposlednią w Europie głośność. Obwód Jasielski, a mianowicie brzegi Wisłoka od jego źródła aż do Pilzna, odznaczają się już fizjognomją tej krainy. Najwydatniejszym jednak rysem okolic Krosna, najmocniej pociągającym ku sobie moje oczy i serce, były zwaliska zamku Odrzykońskiego.

Wszelkie ruiny tego rodzaju są dla mnie jakby grobem rodzinnym, widmem przeszłości, hieroglificznym kluczem od¹ wiekowych dziejów, światem niewyczerpanym wspomnień, marzeń, smutków i pociech rzewnych. Ile razy spojrzę na coś podobnego, tylekroć zdaje mi się słyszeć głos wewnętrzny: i tu pogrzebiony członek twojej przeszłości! a wnet religijne uczucia napelniają duszę, myśl podnosi się, budzi wolę, kieruje krok pielgrzymi, i jestem wśród gruzów.

Kilka dni już upłynęło od przybycia mojego w okolicy Odrzykonia, a nie mogłem zwiedzić zameczyska. Odległość, czas dżdżysty i inne przeszkody oddalały odemnie rozkosz tej pielgrzymki. A tymczasem widno zwaliska po całych mię dniach prześladowało. Panując wzniosłem położeniem nad okolicą, zdawało się z każdej strony zachodzić mi w oczy. Nie było

¹ W pierwodruku: *do*.

zmiany cienia i światła, w którejbym go nie widział; nie było fantastycznej postaci, którejby nie wywołało z mojej wyobraźni. Podniosła-li się za nim nawalna chmura, to na jej tle czarnem, poziewającym błyskawicami,¹ widziałem olbrzyma mojej przeszłości,² złamanego, zgruchotanego, zwałonego, miotanego śmiertelnymi bolami, ale dawna wielkość groziła z jego czoła, oddychał ogniem, wypuszczał grzmotami słowa błogosławieństw, strzałami piorunów przypominał się światu, że żyje;³ czasami zamglila go siatka deszczu; wówczas tajemnicza jego postać, obwiana tą zasłoną, stała przedemną jak anioł wiary i nadziei; inną razą, błyszczący całym przepychem dnia wschodzącego, był dla mnie uosobieniem przyszłości, zmartwychwstaniem nowej postaci, w promieniach nowego ducha; a i wtedy nawet, kiedy w przerwach słoty uśmiechał się ponurym blaskiem zachodu, i wtedy nawet obudzał tysiąc myśli niecałkiem ponurych. Jednym słowem, wszystko, co doznawałem w owej chęci i niemożności obejrzenia zwalisk, porównać tylko można z przeczuciami miłości w duszy dziewiczej, z jej marzeniami.

Tymczasem zbierałem troskliwie rozliczne wieści, dotyczące się jego dziejów. Źródło ich nie było obfite. Mogłem czerpać jedynie z towarzystwa, w którym żyłem; a wiadomo nam, jak mało terażniejsza szlachta przywiązuje wagi do podobnych rzeczy. Obok ich gumien, obok ich gorzelni, czemuż są te wszystkie, choćby najpyszniejsze, zwaliska? Wiadomość jarmarków w pobliskim miasteczku, zabawa sąsiedzka, szczegóły jakiegoś wesela lub pogrzebu, tyle zatrudniają ich pamięć i myśli, że niema w nich miejsca dla podań jakiegś tam ruiny. Nie mogłem przeto dowiedzieć się nic więcej, jak tylko, że zamek Odrzykoński zbudowany był przez

¹ ziejącem błyskawicami.

² Olbrzyma, wyobrażającego przeszłość mojego narodu.

³ W pierwodruku: że jeszcze żyje.

Firlejów¹, że w jego okolicy musiały się odbywać krwawe bitwy, bo dziś jeszcze wyorują zbroje i kule, że przed kilkudziesiąt laty był zamieszkały i przechowywał w swoich piwnicach odwieczne wino, że później ludzie przybyli w pomoc losom, niepogodom i czasowi i w zawody go niszczyli, że natomiast powstały z jego gruzów: klasztor kapucyński w Krośnie, kilka kamienic w Korczynie, kilka gorzelni, stajnia dla cesarskich ogierów, i tym podobnie: że dziś nakoniec razem ze wsią tego nazwiska jest własnością hrabiego Jabłonowskiego².

— Więc dzisiaj zupełnie zniszczony — mówiłem do gospodyni domu, która mi najwięcej powyższych szczegółów dostarczyła.

— Prawie zupełnie, — odpowiedziała — od czasu, jak się zapadły dwa pokoje, które jeszcze przed laty kilką były zamieszkane.

— Zamieszkane? Przez kogo?

— Przez Machnickiego.

— Któż to był ten Machnicki?

¹ Zamek odrzykoński założony był jeszcze za Kazimierza Wielkiego, jeżeli nie wcześniej. Z powodu skalistego gruntu nazywał się Kamińcem, a także z niemiecka Erembergiem (Herrenberg). Najdawniejsi znani dziedzice zamku, Morkorzewscy, od nazwy zamku Kamińca zaczęli zwać się Kamińceckimi. Potem posiadaczami jego byli Stadniccy, Bonarowie, Firlejowie, Skotniccy i inni. Miewał on niekiedy po dwu właścicieli. Jeden z Firlejów (Mikołaj) posiadał znów cały zamek, a ten po jego śmierci bezpotomnej przeszedł po kądzieli do Jabłonowskich.

W r. 1657 Jerzy Rakoczy, w zмовie z Karolem Gustawem wtargnąwszy do Polski, obległ zamek odrzykoński. Załoga długo się broniła, a gdy jej zabrakło żywności, tajemnymi przejściami podziemnymi przeszła do pobliskiego Krośna. Rakoczy zajął opuszczony zamek i zburzył go. Odbudowano go potem, ale już nigdy nie wrócił do dawnej świetności. W XVIII wieku uległ zupełnemu zaniedbaniu. Już wtedy zaczęto rozbierać jego mury na różne okoliczne budowy, o czym wspomina niżej Goszczyński.

² Rodzina Jabłonowskich, o której tu mowa, nosiła tytuł nie hrabiowski, ale książęcy, który otrzymała w XVIII w. od cesarza Karola VII.

— On jest jeszcze. Zapomniałam poznać z nim pana. Najważniejszy to dzisiaj szczegół Odrzykońskich zwalisk. Machnicki jest, mówiąc krótko, warjat. O przyczynach jego obłąkania rozmaicie powiadają. Najpodobniejsza do prawdy powieść, że będąc urzędnikiem cesarskim, oddał się zbyt pracą swojego urzędu i tym sposobem stracił jedną klepkę. Po tym przypadku naturalnie został bez domu; a że miał zawsze szczególnie pociąg do zameczyska, tam więc zamieszkał dwa pozostałe pokoje, i był ich mieszkańcem, dopóki nie runęły. Nadto potrzeba panu wiedzieć, że się nazywa Królem Odrzykońskim i uważa się za samowładnego pana owych ruin, a stąd mamy nieraz pełno scen pociesznych.

Ciekawość względem podobnych ludzi jest łatwa do wytłumaczenia, nie dziw przeto, że mię zajęła powieść o Machnickim i chciałem powziąć¹ jak najdokładniejsze o nim wyobrażenie.

— Pani go zna? — zapytałem.

— O mój Boże! — odpowiedziała z uśmiechem — jak zły szeląg. Bywa u nas częściej niż gdziekolwiek, bo trzeba panu wiedzieć, że to nie jest warjat z rodzaju pospolitych: ma on wiele wrodzonych zdolności i nauki, co i dziś jeszcze widać. Są chwile, że wzięłbyś go pan za człowieka z najzdrowszym rozsądkiem. Zdarzyło się to niedawno jednemu z podróżujących cudzoziemców; Machnicki mieszkał jeszcze w swojej królewskiej rezydencji. Ów cudzoziemiec, zwiedzając zameczysko, spotkał się z nim, wszedł w rozmowę, bo trzeba panu wiedzieć, że Machnicki mówi bardzo dobrze kilku językami, i znalazł go tak dobrze, że wrócił do nas oczarowany tą znajomością.

— Któż? Machnicki?

— Ale gdzie tam. Cudzoziemiec podróżny. Zaczął nam tedy opowiadać, że nie spodziewał się znaleźć

¹ W pierwodruku: *powziąć*.

w tym wieku i w Polsce pustelnika tak r6zumnego. Niemal6 zdziwił si6, kiedy6my odkryli, kto to był w samej rzeczy 6w jego uczony pustelnik. Mimo to jednak pewna jestem, że odjechał, niezupelnie nam wierząc.

— Z tego wszystkiego, co od pani slysze, jestem bardzo ciekawy poznać Machnickiego. Szkoda, że opuścił zwaliska, miałbym pow6d jeden wi6cej do ich zwiedzenia.

— Nic łatwiejszego, jak go poznać, nawet w zamczysku, bo choć tam wi6cej nie mieszka, to pracuje ciagle, wałesa si6 po niem; codzi6n go pan spotkasz. Ale byłby to trud niepotrzebny. Zobaczysz go pan w naszym domu. Pojutrze imieniny mojego m6ża; Machnicki tego dnia nigdy nie opuści: zaszczyca nas co rok swoim powinszowaniem, bo trzeba panu wiedzieć, że Machnicki jest takze poeta, a wiersze jego wcale niezłe. Cz6sto obdarza niemi sąsiedztwo z powodu rozmaitych okoliczno6ci. Najdziwniejsza rzecz w takim warjacie, że ma bardzo wiele dowcipu, ale dowcipu tak zło6liwego, że nieraz można myśleć, czy nie udaje głupiego, aby mógł tem bezpieczniej kasać. Niekt6rzy szczerze gniewaj6 si6 za jego przycinki; my, co go lepiej znamy, serdecznie si6 śmiejemy, bo czyż można gniewać si6 na biednego warjata? A że takim jest, sam pan przyznasz, jak go tylko ujrzysz.

II

IMIENINY

Ze szczerą niecierpliwością wyglądałem owego dnia imienin, który miał mi nastreczyć sposobność poznania Króla Zameczyska; z powiększoną, kiedy wreszcie nadszedł. Towarzystwo było liczne i przyjemne, ale ja o Machnickim tylko myślałem. Miało się już ku zachodowi słońca, a jego jeszcze nie było. Zabierano się właśnie do obiadu, kiedy oznajmiono przybycie gościa, oczekiwanego prawie przez wszystkich, ale przez wszystkich z innego, jak mój, powodu. Byliśmy naówczas w jadalnej sali. Otwierają się drzwi.

— A! Pan Machnicki! Pan Machnicki — zawołano zewsząd.

On to był w istocie. Wszedł ze śmiałą pewnością siebie, którą daje albo ciągłe życie wśród świata ukształconego, albo uczucie wewnętrznej wyższości nad resztą towarzystwa. W nowoprzybyłym prędzej to drugie dało się dopatrzeć: w ułożeniu jego przebijało się cokolwiek dumy, jednak połączonej z pewną uprzejmą godnością, która waruje¹ od ubliżenia innym. Po kilku krokach powitał, stosownym ukłonem licznych dokoła gości; a w tejże chwili podszedł ku niemu gospodarz domu, podał mu rękę, ścisnęli się wzajemnie.

— Wszak to dzień imienin Szanownego Pana? — pierwszy zaczął Machnicki.

¹ waruje — strzeże.

— Tak jest, — odpowiedział gospodarz — a dla mnie i stąd miły, że mogę powitać w moim domu tak nam drogiego, a przecie tak rzadkiego gościa.

— A dla mnie — rzekł Machnicki z zimnym, lekko szyderezym uśmiechem — stąd jeszcze miłszy, że mogę mu złożyć moje życzenia. Na ten raz jedno tylko wynurzę, abyś nigdy nie wyszedł źle na swoich żądaniach i zawsze więcej żądał dla drugich, jak dla siebie. Reszta na potem, bo zdaje mi się, że obiad czeka gości, a goście obiadu jeszcze bardziej.

Obecni temu, wszyscy prawie, znali Machnickiego osobiście, oswojeni byli z tonem jego mów, we wszystkim znajdowali pobudkę do uciechy; i powyższe więc słowa tylko ich rozśmieszyły, jak zwyczajne głupstwo: może to było i konieczne w tych, którzy oddawna znali go warjatem i ostrzelali się z jego przycinkami, ale na mnie ta krótka scena zrobiła przeciwne całkiem wrażenie. Żaden ruch, żaden wyraz Machnickiego nie uszedł mojej uwagi, od czasu jak wstąpił do sali, i w niczem nie dostrzegłem owego okrzyczanego obłąkania. Przeciwnie, wszystko wprowadzało mnie na uroczyste zastanowienie się nad nim i podnosiło do wyższego stopnia ciekawość. Przypadek wygodził poczęści moim chęciom: zasiedliśmy do stołu prawie tuż naprzeciw siebie. Ale długo nie mogłem z tego korzystać. Według zwyczaju, mając wedle siebie sąsiadkę, miałem zarazem obowiązek służenia jej i bawienia. Nie wiem, jak dopełniałem tej powinności, ale to pewna, że byłem głównie zajęty Machnickim, tak, że wkrótce, przy całym rozłargnieniu, mogłem sobie narysować zewnętrzny przynajmniej obraz jego fizjognomji.

Potrzeba sobie wyobrazić człowieka wzrosłu więcej trochę niż miernego, postawy prostej, budowy silnej, bark szeroki, z doskonałą harmonją we wzajemnym do siebie stosunku wszystkich członków, jednym słowem: człowieka dobrze i pięknie zbudowanego, któremu jednak zbywa cokolwiek na stosownej tuszy; przy takiej bu-

dowie wyobraźmy sobie ruchy swobodne, naturalne, zgrabne, często żywe, a zawsze miarkowane pewną godnością, pewną powagą mimowiestną, niewymuszoną, napiętnowaną charakterem dawno ustalonym. Miał około lat pięciudziesiąt. Pokazywały to i włosy, w połowie siwe, i cała powierzchowność twarzy. Mimo to odgadywałeś, że ta twarz była kiedyś ładna; chudość nie zepsuła jej owalu, nie zaostrzyła zbyt znacznie rysów, a wydatniejszym zrobiła nos pociągły, z lekkimi wypukłościami średniej chrząstki i końcowego zaokrąglenia. Nie była to jednak fizjognomja ludzi pospolitego rozumu i charakteru. Wpatrzywszy się w nią lepiej okiem znawcy, dostrzegłeś pod zwierzchnią jej powłoką rysów połamanych przez uniesienia namiętne, przez głębokie cierpienia, przez tortury ducha, jasno widziałeś w jej głębi ruinę myśli i obłąkania, ale obłąkania człowieka, który, o ile w stanie zdrowia przenosił swoim rozumem rozumy pospolite, o tyle w samym upadku ostał się jeszcze w pewnej nad nimi wyższości — uczucia. Najwyraźnijszem objawieniem tego smutnego stanu była dziwna ruchliwość oblicza. W chwili rozigrania widziałeś tam naraz prawie kilka rozmaitych, najsprzeczniejszych wzruszeń, ale w każdym z nich było coś tak szlachetnego, że nawet w podobnem pasowaniu się z sobą nie szpeciły twarzy, nie robiły na patrzącym przykrego wrażenia. To samo działo się w dużych, siwych oczach: czasem błyskały one takim szczególnem spojrzeniem, że blask ich przechodził w dziką jaskrawość; ale i wtedy uderzała cię tylko jakaś energia duchowa, jakaś żywość myśli, które lubo gwałtownie przelatywały, znać jednak było, że nie przelatywały samopas, ulegały kierunkowi pewnej woli i mimo przeblyskiwania objawiały się silne, pełne i wykończone.

Widok tej twarzy w zupełnem uspokojeniu nie mniej był ciekawy: wszystko wtedy oddychało w niej jakimś uczuciem wyższości nad przytomnymi, zanadto pewnej siebie, żeby wpadała w zuchwalstwo, jakąś

w rzeczy samej myślą panowania; na dnie błyszczał niby wyraz młodości, jakby młodości duszy, jakby wiosna wyobraźni, a na tem wszystkiem leżała cicha ponurość, niby zasłona z przejrzystej krepy, której wydatniejszymi fałdami były gęste, przez pół siwe i ciemne włosy, na czoło nasunięte z pewnem zaniedbaniem, i ciemniejsze jeszcze, wielkie brwi, nad okiem zwisłe. Głos jego był silny, dźwięczny, a obok tego czysty, przyjemny i łatwo gnący się do dźwięku wszelkiego uczucia.

W czasie tego obiadu, chociaż jadł bardzo skromnie, a pił jeszcze skromniej, i to czystą wodę, mało się jednak odżywał, a zawsze zmuszony przez kogoś. Uważałem wtedy rzadką żywość i trafność w odpowiedziach, a w rozmowach, tak krótszych jak dłuższych, wielką łatwość i szlachetność tłumaczenia się.

I tego jednak, co mówił, nie mogłem po największej części dosłyszeć, wciągany nieraz przez moją sąsiadkę do nowej rozmowy, którą przez grzeczność musiałem utrzymywać. Wkrótce ciekawość, zwrócona w inną stronę, przemogła nad grzecznością; mimo całego przymusu odpowiadałem niestosownie, albo wcale nie odpowiadałem. Dysharmonja między naszymi myślami była widoczna. Postrzegła wreszcie moja pani to rozlagnienie; zrazu zaczęła żartobliwie napomykać jego przyczynę, która kobiecie wydaje się jedyną i konieczną w mężczyźnie młodym i nieżonatym, wkońcu, zwróciwszy się ku drugiemu sąsiadowi, zostawiła mi zupełną swobodę zajęcia się Machnickim. Byłem jej za to bardzo wdzięczny, bo właśnie tejże chwili rozpoczęła się znowu scena, która przedmiot mojej ciekawości odstąpiła mi z innej strony, ważniejszej niż jego powierzchowność.

Znajdował się w naszym towarzystwie pewien hrabia K.... Był to młody, dwudziestokilkoletni mężczyzna. Należał on z rzemiosła swojego do rzędu ludzi, znanych pod rodzajowem nazwiskiem »przyjemnych trzpiotów«, jakich ma każdy kraj, każda prowincja,

każda okolica, każde miasteczko, każda koterja, a których wartość gatunkowa odpowiada sferze, gdzie krążą wyłącznie. Hrabia K. był jednym z dowcipów podrzędniejszych, cyrkularnych. Nie przeszkadzało to jednak, że cały cyrkuł bawił się nim w najlepsze. Kobiety dobrego miejscowego tonu szalały za jego towarzystwem; młodzież, w najnowszej swojej części, naśladowała go w czem mogła; starsi i rozsądniejsi pobrażali, bo był hrabią i miał jaki taki mająteczek: zresztą był, jak to zowią, dobry chłopiec. Znał się na koniach i psach, strzelał celnie, jadł i pił o zakłady, śpiewał i gwizdał przy fortepianie, tańczył na zawołanie bez muzyki i pary, nie zostawił nikogo w spokoju, powolniejszym wręcz dokuczał, drażliwszych wydrzeźniał z tyłu, koniec końców blaźnował, najczęściej kosztem tych, nad którymi przystawało raczej litować się; wszakże, usprawiedliwiając go, potrzeba dodać, że przykry ten dowcip miał źródło raczej w głupocie jak w złem sercu, raczej w zepsutym smaku towarzystwa, w którym żył, jak w skłonnościach wrodzonych. Wszedł on w nałóg złośliwego bawienia się, jak wchodzimy we wszelką rozpustę, przez poklask zepsutych. Dla podobnego człowieka Machnicki, albo, że użyję całego wyrażenia samegoż hrabiego, Król Machnicki, był to prawdziwie *królewski kęsek*.

Całe towarzystwo wiedziało o przygotowanym napadzie na biednego warjata, czekało niecierpliwie, z nielicznym wyjątkiem, chwili starcia się dwóch takich zapaśników, których już dlatego umieszczono przy stole obok siebie, i doczekało się nareszcie. Hrabia zaczął. Napelnił kielich winem, podniósł się, ułożył twarz figlarnie uroczyście i zawołał:

— Zdrowie Króla Odrzykońskiego! Oby jak najdłużej panował dla naszej radości, w takiej mądrości i sławie u świata, jak dotąd.

Znalęzli się, którzy odpowiedzieli na ten toast, inni, którzy szczerze zachichotali, inni wreszcie, którzy

się zmarszczyli widocznem niezadowoleniem — do ostatnich i ja należałem; znam cześć dla gruzów umysłu ludzkiego, jak dla wszelkich innych. Machnicki siedział nieruchomy, i byłby może takim pozostał, gdyby młodzik, za daleko swój żart posuwając, nie był go trącił w ramię i nie przemówił z drwiącym grymasem:

— Królu, azaliż grzeczność nieznana w twojem państwie?

Dziwna zmiana chwilowa jak błyskawica mignęła przez oblicze Machnickiego i zostawiła po sobie tylko chmurną powagę; nalał spokojnie swój kielich wodą, i przemówił, nie wstając z siedzenia:

— Przyjmuję zdrowie pana Hrabiego w ten sam sposób, w jaki było wzniesione, i mam sobie za powinność odplacić toast toastem, przemowę przemową... Trzeba nam wiedzieć, moi panowie, że są dwa rodzaje warjatów: jedni, których bardzo mało, wiedzą o swoim stanie, umieją go znosić i są tem, co właściwie zowią się warjatami; drudzy, z rozumem niedoleźniejszym od warjacji, sądzą, że mają najzdrowszy, ani na chwilę o tem nie wątpią; takich jest bardzo a bardzo wiele¹, a nazwisko ich znajdzie pan Hrabia w Słowniku swojej grzeczności. Pierwszym i wino nie zaszkodzi, toteż ich zdrowie można pić winem; drugim pomaga niekiedy zimna woda, dlatego wodą piję twój toast, panie Hrabio! *Oby podobni tobie rozmnożyli się bez liku u naszych nieprzyjaciół!*

Toast Machnickiego wzbudził śmiech głośniejszy i powszechniejszy jak pierwej². Wielu cieszyło się kłopotem hrabiątka tak samo, jak wprzód ostry żartem z Machnickiego, inni zaś ze szczerej przychylności ku sprawie zaczepionego. Wszakże ten usterk nie zraził jeszcze Hrabiego, przynajmniej umiał go pokryć głośnym śmiechem, chociaż, widać było, wymuszonym.

— Jakto, Królu — zawołał, nachylając się uprzej-

¹ W pierwodr.: *bardzo, o bardzo.*

² t. j. niż poprzedni.

mie ku Machnickiemu, — tybys miał się gniewać za życzenie, dalibóg serdeczne? Otóż dla prześlągania ciebie chcę odtąd zostać najwierniejszym twoim poddanym.

— Przepraszam — odparł natychmiast Machnicki z niewzruszoną powagą: — Moją polityką jest nie cierpieć w mojem państwie większego odemnie... króla ma się rozumieć. Panie Hrabio, z twojem szlachetnem usposobieniem prędkobyś mię z tronu zsadził.

Śmiech towarzystwa jeszcze się bardziej powiększył: czuł teraz Hrabia, że jego kosztem, że kosztem jego dowcipu, który się rozbił o głupstwo niby warjata, — i nie znalazł już mocy pokryć swojej przegranej choćby udanym śmiechem, ale stracił do reszty przytomność dobrej myśli, kiedy Machnicki, który przez cały ten czas wpatrywał się w grę jego oblicza z zimnem szuderstwem politowania i wzgardy, zawołał ze swojej znów strony, jakby naśladowując Hrabiego:

— Jakto? Panie Hrabio, azaliż niema już dowcipu w twoim dowcipie? — a na zakończenie, uderzywszy kielichem w kielich, który właśnie pomieszany Hrabia niósł machinalnie do ust, zawołał: — A więc zgoda dwóch półgłówek! Któż z nami, jeśli my przeciw sobie?

Żartowniś, dobity tym ciosem, któremu nie przestawał towarzyszyć barbarzyński śmiech wielkiej części towarzystwa, byłby może wypadł z karbów okoliczności i szczerym gniewem wybuchnął, gdyby litość kilku roztropniejszych kobiet, zwykle przytomnych w podobnym razie, nie była nadała zabawie innego kierunku.

— Panie Machnicki, — zawołała jedna z nich — zaimprovizuj nam cokolwiek z łaski swojej. Już tak dawno nie mieliśmy przyjemności słyszeć jego poezji. Powiedz nam co wierszami.

Na ten głos Machnicki wrócił do zwyczajnej postawy przy stole, postawił spokojnie kielich i pojrzał

dokoła z taką twarzą, jak gdyby nie było na niej przed chwilą żadnego wzruszenia; odezwał się tylko:

— Ma to być drugi akt komedji! — ale z uśmiechem więcej łagodnym jak szyderskim.

— Prosiemy!¹

Machnicki skinął ręką na ucieszenie.

— Z całego serca! — rzekł. — Wymawiam tylko sobie, aby nie miano do mnie żalu, gdyby jakim przypadkiem nie podobało się coś w moich wierszach komukolwiek. Państwo wiecie zapewne, że człowiek opętany natchnieniem Poety przestaje być sobą. Każdemu z nas, jak tu jesteśmy, zdarza się, jeśli nie ciągle, to przynajmniej codziennie, gadać, nie wiedząc co gada, chociaż prozą; a cóż dziwnego, że człowiek mówiący wierszami i bez przygotowania nie jest czasem panem słów i myśli. Będę improwizował, jeżeli się naprzód zapewnię o takim pobłażaniu:

Chętnie jałmużnę dajecie
Zebrzącej o grosz niedoli,
Nie odmówcież dobrej woli
Warjatowi i Poecie².
Wszak to worka nie wysusza,
A skorzystać może dusza:
A czyja? zapewne wiecie.

Ze szczerą ciekawością wpatrywałem się w Machnickiego i chwytalem każde jego słowo. W rzeczy samej zdziwienie moje było nadspodziewane nad ową łatwością wysłowienia się i szybkością myśli, co tak przelatywała z jednego tonu w drugi. Znać w tem było nietylko wprawę, ale swobodę ducha i władzę nad myślami, którą natchnienie tylko dać może. Nie mogłem wstrzymać się od pomyślenia w duchu: ten człowiek nie na warjata się rodził, a przynajmniej nie na zwyczajnego! Kiedy zaś umilkł na chwilę, jak żeby

¹ Tak w pierwodruku.

² Tak jest w wydaniu z r. 1870; w pierwodruku czytamy: *Warjatowi poecie*,

czekał od obecnych przytwierdzenia swoim słowom, zawołałem pierwszy, stosownie do ostatniego wiersza:

— Wiemy! wiemy! i z rozkoszą słuchamy dalej! — Kilka już razy, z powodu sceny poprzedzającej, dałem uczuć Machnickiemu swoją dla niego życzliwość, ale uważałem, że w tej chwili przyjął ją lepiej niż kiedykolwiek i mocniejszą zwrócił ku mnie uwagę. Wzrokiem szczególnie przenikliwym dłużej na mnie spoczął, jakby mnie chciał zbadać na wskrós, a znalazłszy zapewne w mojem odezwaniu się szczerłość, uśmiechnął się lekko, z pewnem zadowoleniem, — i uważałem, że w ciągu dalszej improwizacji na mnie opierał głównie swoje wejrzenia. Tymczasem wziął w rękę próżny kielich i tak skończył:

Mamy dziś święto sąsiada!
 Tak nam kalendarz powiada.
 By nie zostać niegrzeczniejszym
 Od samego kalendarza
 I długami serca dłużnym,
 A więc przy święcie dzisiejszem
 Piję zdrowie gospodarza,
 A piję kielichem próżnym.
 Jeśli próżny, moją wina?
 Mój kraj pustka i ruina,
 Bo mój kraj to serca wasze:
 Skądże wam napelnię czasie?
 Czyż z mej duszy? na to zdrowie
 Nikt mi pewno nie odpowie.

A chociażbym z niej i nalał,
 Cóżby to się stało z wami?
 Każdyby jak ja ośzalał...
 Lecz nagrodę życzeniami.
 O! życzeń tyle, co nędzy.
 Wszystko zamknę w krótkim słowie:
 Obym pić mógł jak najprędzej
 Z pełnego dzisiejsze zdrowie,
 A życzył rozumnie — w prozie —
 Na wszystkich świętych — w obozie —
 Przy zastawie bojowiska,
 Śród prochu, ognia i dymu!
 Tak wam mówi król zamczyska:
 A co mówi, to dla rytmu.

Taka była improwizacja Machnickiego i z małemi zapewne odmianami, bo ją w tejże chwili odpisywałem. Jako poezja nie ma ona zapewne nic szczególnego, zwłaszcza w czytaniu; ale trzeba ją było słyszeć w ustach Machnickiego — z żywym dźwiękiem jego głosu, ze szczerem uczuciem wezbranego serca. Nadto, przy całym tonie ucinkowym i lekkim, nie można jej zaprzeczyć pięknego głównego pomysłu i prawdy, lubo za cierpkiej, wszakże zawsze prawdy, a zwłaszcza dosyć zastosowanej do osób i okoliczności. Dlatego powszechnie zrobiła ona wrażenie; a to, którego ja doznałem, nie było najmniejsze. Kiedy więc inni podnieśli oklask i okrzyk brawa, ja, korzystając ze zgiełku, przechyliłem się przez stół ku Machnickiemu i szepnąłem półgłosem:

— Winszuję panu nie rymu, ale sensu.

— Pan go dostrzegłeś? — zapytał Machnicki.

— Bez trudu.

— Ale tego, oprócz pana, nikt tu więcej nie powie.

— Bo nie chce.

— Masz pan słuszność. Udają, że się bawią wariatem: niby lepsi od niego. Smutna to rzecz jednak! — i westchnął głęboko. — Patrz, jaka uciecha z własnej hańby. —

Rozmowę naszą przerwała kolej toastów, kończących obiad. Następnie muzyka wezwała do tańców. Powstano od stołu. Wszystkie moje chęci zmierzały do tego, żeby wejść w ściślejszą znajomość z Machnickim: szukałem go na wszystkie strony, niebawnie postrzegłem. O jednym widać myśleliśmy oba, gdyż pierwszy przystąpił do mnie. Byliśmy tylko we dwóch na ustroniu.

— Pan nie lubisz tańców? — zapytał mnie.

— Przeciwnie.

— A jednak nie tańczysz.

— Od jakiegoś czasu.

Ja się uśmiechnąłem, on zamyslił się na chwilę.

— Dobrze pan robisz. Od jakiegoś czasu¹ — a mówił to z wydatnym przyciskiem — nikthy tańczyć nie powinieli; ale poradź-że tu z tymi ludźmi!

Zatrzymał się znowu, zachmurzył się, po chwili przybrał twarz obojętną i obojętnie mię zapytał:

— Pan zapewne z dalekich okolic?

— Tak, niedawno poznałem tutejsze.

— Niewiele zyskałeś.

— Przeciwnie — odpowiedziałem ze szczerą uprzejmością — miałem przyjemność poznać pana Machnickiego.

Pojrzał z niedowierzaniem.

— Ale ten Machnicki warjat!

— Nie dla mnie, jak dotąd, — odparłem z uśmiechem, a na dowód pokazałem mu odpis jego improwizacji, — w tem przynajmniej widzę więcej jak rozum pospolity.

— A u nich jednak to warjacja.

Po chwili nowego milczenia nagle zapytał:

— Widziałeś pan zamek Odrzykoński?

— Zdaleka.

— Więc musisz tu być bardzo niedawno?

— Od tygodnia.

Na tę odpowiedź postrzegłem niezadowolenie w twarzy Machnickiego.

— Jakto? od tygodnia tu być i nie poznać zamku! To jednak tak blisko! A choćby i najdalej? Drugiego takiego miejsca niema na ziemi. Powinniśmy do niego pielgrzymować, jak Muzułmanie do grobu Proroka.

Mówiąc to, podnosił głos coraz wyżej, ruchy ciała ożywiały się, na twarz występował dziwny, wewnętrzny płomień; po raz pierwszy postrzegłem w nim obląkanie.

¹ Trzeba się domyślać: od upadku powstania listopadowego. Podana tu rozmowa odbywała się w parę lat potem.

Wymawiałem się jednak szczerze przeszkodami niezależnymi odemnie, jak było w istocie. Machnicki słuchał niecierpliwie, gotował się widać do nowego uniesienia, kiedy wpadła pomiędzy nas trzecia osoba. Machnicki zwrócił się nagle i odszedł. Widziałem go jeszcze raz, zdaleka; zdawało się, że chciał znowu mię spotkać i mówić, i widać było, że się wahał; wkrótce straciłem go całkiem z oczu: jakoż powiedziano mi, że opuścił towarzystwo niepostrzeżenie. Było to nad moje spodziewanie; mocno żałowałem, że puściłem mimo tak dogodną zręczność lepszego zbadania tej szczególnej istoty. Nie pozostało mi teraz, jak szukać go w zamczysku: i na to przeznaczyłem nieodmiennie dzień następujący.

III

ZAMCZYSKO ODRZYKOŃSKIE

Nazajutrz, ledwie dzień zaświtał, byłem już w podróży do zamczyska, bo chciałem razem z niem wschód słońca powitać. Poranek był prześliczny, jak tylko może być poranek majowy i pogodny po tylu dniach nieba zachmurzonego. Droga pięła się pod górę, pomiędzy sadami lub lasami. Oko w każdym kierunku odpoczywało na śniegach drzew rozkwieconych; wszystkie wiatry powiewały woniami fiołków. Zielona szata okolicy srebrzyła się perlami rosy. Niewysłowiona, czarująca świeżość, jak swoboda lat młodzieńczych, przenikała i zachwycała duszę, grała we wszystkie zmysły. Droga tymczasem coraz przykrzejsza, las ciemniejszy, skały gęściej szarzeją, dzikość pustyni coraz wyraźniej czuć się daje, urok miejsca coraz silniej podbija duszę; nagle puszcza się rozstąpiła i zamek w całej pogrobowej okazałości stanął przedemną.

Nie będąc się rozwodził, z jakim uniesieniem powitałem ten widok, nie będąc opisywał wrażeń, które zrobił na mnie pierwszy przegląd tego ogromu gruzów; tam, gdzie każda ściana, każdy zakąt, każdy kamień, każdy krok wyprowadzały czarodziejską różdżką z mojej duszy nowy coraz potok uczuć i marzeń, otwierały mi nowe światy, szczegółowy opis byłby może zanadto nużący, a, co pewniejsza, niepodobny do wykonania. Dodam nadto, że celem niniejszej powieści nie jest obraz moich wrażeń, lecz proste opowiadanie, a główną

jej osobą nie ja, lecz Król zameczyska. O tyle więc jedynie opowiadam, com widział lub czuł, o ile to potrzebne do utworzenia tła, na któremby przedmiot obrazu wydał się jak najwłaściwiej, jak najdobitniej. Z tego tylko powodu uznaję za konieczne rzucić kilka zarysów ogólnych zameczyska i jego okolic.

Zamek Odrzykoński leży na północ Krosna. Posadą jego jest góra, należąca do łańcucha jednej z Karpackich odnóg, okryta świerkowemi lasami, jak cały szereg jej rodziny. Zamek zajmuje najwyższą jej wyniosłość, która ją widocznie od innych odosobnia. Ów szczyt najeżony jest ogromnemi bryłami gładów, pomiędzy któremi rosną pomieszane: brzozy, sosny, buki, a z drobniejszych krzewów: głóg, jałowiec, dzikie róże, jeżyna i tym podobne. Sam zamek po największej części wygląda jak mogiła gruzów, jednakże znaczna część murów, zwłaszcza zewnętrznych, stoi dotąd nieporuszona. Najwyższa część zamku zajmuje południowy bok szczytu, najniższa zachodni. Ściana północna cała prawie ciągnie się w linii prostej, równolegle niemal do południowej, kąty innych części są w rozmaitej liczbie, rozmaitej wielkości. Taki jest ogólny rysunek zwalisk; inne szczegóły będą mieć miejsce w dalszem opowiadaniu.

Znużony pieszą wędrówką i szybkim a trującym przegładem gruzów, wzruszony do głębi duszy ich widokiem, uczulem nakoniec potrzebę wytchnienia. Obrąłem na to miejsce, skądbym mógł ogarnąć jak największą przestrzeń najładniejszej okolicy: i w samej rzeczy miałem niezmierny, porywający widok, szczególnie od południa i zachodu. Z jednej strony padół, zaledwie obejrzany, zasiany miasteczkami i wsiami, pocieniowany lasami, przepasany łożem Wisłoka; z drugiej zaś pasmo Karpat rozłożyło się przed mojem okiem bez żadnej zasłony. Nie miałem jednak dosyć czasu nasycić się pięknnością tego obrazu: wkrótce rumiana zorza wschodu odbiła się na dalekich szczytach, zwia-

stując słońce; ku wschodniej więc stronie zwróciłem oczy.

Po chwili i słońce zjawiać się zaczęło w grubej chmurze, jakby go noc ze swoich objęć wypuścić jeszcze nie chciała; chmury wprawdzie opadły i rozpięzchły się, a słońce zabłysło odrazu w całym blasku, ale był to blask zawczesny, południowy, przykry, który w ciągu dnia deszcz zapowiada, blask oka, któremu na płacz się zanosi, którego powierzchnia jaśnieje szczęściem, kiedy na dnie jego podnosi się z głębin duszy chmura smutku, przeczucie boleści.

Taka chwila ma właściwy sobie urok i przedstawia jasne podobieństwo stanu przyrody, zwanej martwą, ze stanem duszy ludzkiej. Przedmioty oddalone zazwyczaj zbliżają się do siebie: rzekłbyś, że chcą napatrzeć się sobie, zaczem je nrok chmury rozłączy; kwiaty mocniej wonieją, jak żeby spieszyły się z daniną kadzidła krótkim chwilom pogody; mimo godziny porannej zaduch południa; mimo przepychu światła jakaś w nim melancholja, jakiś brak, coś nakształt owej niepojętej tęsknoty, która ani swojego źródła, ani swojej pociechy znaleźć nie umie.

Takie było oblicze owego poranku; nieznacznie, mimowiestnie, wpływ jego i mnie ogarnął, tem łatwiej, że mię usposabiało do rozrzewnienia się samo miejsce, gdzie się znajdowałem. Posępne dumanie przegrywkami odzywało się zrazu po stronach¹ duszy, zwolna ułożyło się w piosenkę mniej więcej wyraźną, aż nastroszy do swego tonu czucia i myśli, wylało się na papier w następnym wierszu:

Wędrowcze ruin, ruin kochanku,
 Jaki cię smutek naciska?
 Anioł przeszłości, anioł poranku
 Spotkały się u zwałiska.

¹ t. j. po strunach.

Widzę w objęciu nadziejską parę,
 Widzę ich dwa widma chimurne,
 Jak razem płaczą, jak też ofiarę
 Kładną razem w gruzów urnę.

Stary czas odżył smutną pociechą
 I zajęczał im w podzięce;
 Słyszę jęk jego, jak dzikie echo
 Po bolesnej gór piosence.

Wciąż koniec śpiewu. Kiedyż pieśń nowa
 Rozpocznie się przez kwilenie
 Nowych narodzin? Paro duchowa,
 Daj mi przeszłości widzenie!

Skończyłem właśnie odczytanie powyższej dumki, kiedy usłyszałem za sobą głębokie westchnienie; obejrzałem się i postrzegłem Machnickiego. Stał tuż przy mnie; z oblicza widać było zachwycenie w myśli, na oczach łzy stały; wszakże strój osobliwy szczególnie mię uderzył. Suknie, schodzone cokolwiek, były jednak porządne i ułożone z pewną starannością, nie wydawały pomieszanego umysłu; za to szersze były dodatki do ubioru. Na głowie miał kapelusz, otoczony wieniecem z gałązek róż dzikich, okrytych napół rozwiniętym kwiatem, gałązka świerku sterczała zamiast kity, piersi całe okryte były to rozmaitemi kwiatkami polnemi, to liśćmi, w rękę trzymał kōść z ręki ludzkiej, jak mi się wydało na pierwsze wejrzenie. Ten strój, tak odmienny od wczorajszego, przez co nie mogłem go odrazu poznać, obok tego rozmarzenie poetyckie, niecałkiem jeszcze rozproszone, sprawiły, że jakiś czas byłem jakby pomieszany: i nie wiedziałbym, od czego zacząć rozmowę, gdybym się nie upewnił w tejże chwili, że mój kłopot był daremny, bo Machnicki zaczął pierwszy. Stał on jeszcze w postawie, w jakiej go postrzegłem, z tymże wyrazem zachwycenia w obliczu; zwolna podniósł nad głowę kōść, którą trzymał, i uroczystym przeciągał głosem: »Anioł przeszłości, anioł poranku spotkały się u zwałiska!«

¹ W pierwodruku: *nieziemską*.

Zamilkł, zniżył kość z tą samą powagą, z jaką ją podnosił, pilnie wpatrzył się we mnie, i rzekł, nie zmieniając wyrazu twarzy:

— Ja, król Odrzykoński, nieograniczony pan tych gruzów, stróż ich przeszłości, naprzód jako król wynurzam ci wdzięczność, żeś godny hołd złożył mojemu królestwu: biorę cię przeto pod moją opiekę, jak długo zechcesz przebywać w mojej dziedzinie, w dowód czego dotykam cię tem mojem berłem; a teraz... — zmienił nagle twarz i z uprzejmym uśmiechem uściśnął serdecznie moją rękę — a teraz witam jako brat brata, a przede wszystkim najmocniej przepraszam, jeżeli mojem nadejściem przerwałem chwilę jego natchnienia. Podobne chwile są nieopłacone i ja znam ich wartość; i ja także jestem poetą. Szczerze więc przepraszam.

— Ja to pierwszy powinienem żądać przebaczenia, że bez wiedzy króla śmiałem wejść w jego państwo, — odpowiedziałem, stosując się do królewskiej Machnickiego roli.

— Z tej strony bądź spokojny, — rzekł Machnicki z coraz większą uprzejmością — już po wczorajszem poznaniu, chociaż dalekiem, serce moje przychyliło się ku niemu; życzyłem sobie jego odwiedzin; zrazu chciałem mu to oświadczyć, rozważywszy, zaniechałem. Co bym mówił z pełności serca, toby wzięto za wybryk warjata. Mniejsza o mnie, ale część mojej śmieszności i na niego by spadła. Pan znasz świat — znasz wczorajsze towarzystwo — wiesz, jak mnie uważają, wiesz to dobrze — niech to pana nie miesza. Ja nie gniewam się na tych ludzi, bo znam ich dobrze. Nie czuję się nigdy mędrszym, lepszym, jak kiedy jestem pomiędzy nimi. Jednego kamyka tych gruzów nie oddałbym za najcześnie z ich serce — ten kwiatek przekwitł więcej ma duszy, jak oni. Żadnego z nich nie chciałbym mieć moim poddanym. Wolę tym gruzom królować. Z tem wszystkim nie są oni najgorsi. O! daleko gorsi są od nich. Oni nawet dobrzy ludzie podług ich czasu, podług

ich rozumu, ale warjaci. Mogłem być ich królem i nie chciałem. Dlaczego? jak? Kiedy się lepiej poznamy, sam przyznasz mi słusność. Ale zostawmy to na później. Obyczajem świata zaczniemy rozmowę od pogody. Wybrałeś pan do wędrówki prześliczną chwilę, tylko niepewną.

— Bardzo tego żałuję, — odpowiedziałem — widoki cudne, potrzeba wiele swobodnego czasu, żeby się nimi nasycić.

— Masz pan słusność. Okolica prześliczna, ale to tylko ciało; cóż gdybyś pan duszę zobaczył! Jaka olbrzymia, jaka wzniosła! Genjusz ożywiłby nią dwadzieścia milionów. Tylko że to jest tajemnica, wielka, zaklęta tajemnica. Krocie ludzi rodzą się i umierają pod bokiem tych gruzów, a żaden ani się domyśli ich prawdziwej wartości. Gruzy i gruzy! powiadają oni; stare, okazałe, to prawda, ale nic więcej, tylko gruzy jakiegoś zamku. A ja panu powiadam, że te gruzy większe są od tebańskich, babilońskich, rzymskich, większe od gruzów niejednego narodu. Gdyby mi wolno było podnieść ich zasłonę, świat z hołści wziąłby się za włosy; zobaczyłby pod nimi przestrzeń pustyni większej jak Sahara, w każdym kamieniu trupa, w każdej warstwie muru pokolenia wymordowane, zobaczyłby rzeki z łez i krwi; ich wysokość myślą jedynie musiałby zgadywać, wieża Sennaru¹ pigmejczyk przed nimi. Jest to coś jak majestat narodu.

— Wierzę panu.

— Nie dziwiłbym się, gdybyś nie wierzył; za krótko jesteśmy z sobą. Ale później, może... tu zatrzymał się i nagle przeszedł z widocznym umysłem do innego przedmiotu.

— Podśluchałem wiersz pana. Nie przepraszam go za to. Wszak jestem tu królem, mam prawo i powinność wszystko widzieć i słyszeć, co się w moim państwie dzieje. Nie powinienesz urażać się o to; nie

¹ wieża Sennaru — wieża Babel, która podług Biblii (*Genesis* 10, 11) zbudowana była w ziemi Sennaar nad Eufratem.

straciłeś pan na mojej ciekawości. Z tej jednej chwili poznałem go lepiej, niż gdybyśmy sto imienin razem obchodzili. Widzę u pana usposobienie bardzo dla niego pochlebne, a które daje mu prawo... Nagle zatrzymał się i patrzył mi w oczy długo, okiem ani na chwilę nie zmrużonem, bystrem, przenikającym duszę w różnych kierunkach; zawołał potem: Tak, możesz pan śmiało pytać o wszystko, co się tyczy mojego królestwa; objaśnię go, o ile mi wolno.

Podziękowałem w krótkich słowach i zacząłem od sprawdzenia już mi wiadomych szczegółów: — Ten zamek — rzekłem — Firlej podobno założył za panowania któregoś z Zygmuntów.

— Firlej! Zygmunt! — powtarzał Machnicki z uśmiechem przekąsu — bajki! ale nie tu miejsce mówić o tych rzeczach. Tu każde echo złapałoby moje słowo, a tysiąc wiatrów nieprzyjaznych rozniosłoby je natychmiast — o! mam ja potężnych nieprzyjaciół i tutaj, jawnych i utajonych, — muszę być ostrożnym. Gdybym panu powiedział ostatnie słowo tych gruzów, spędzonoby wszystkie pulki piekielne, aby ich ślady nawet zdeptać. Ale od czegoż mądrość stanu? muszę dyplomatyżować.

W tem miejscu muszę się przyznać czytelnikowi, że dotąd jeszcze uważałem Machnickiego za zwyczajnego obłąkańca i stosownie też przyjmowałem monetę jego mowy. Jego więc odpowiedzi, zboczenia, uniesienia się, nie przerywały głównego ciągu mojej myśli, nie psuły szyku zapytań, które podobny przedmiot nastęczał, na które przede wszystkim chciałem mieć odpowiedź; dlatego mówiłem dalej:

— Powiadają, że jeszcze niedawno znaczna część zamku była mieszkalną?

Machnicki milczał.

— Największą część rozebrano podobno na inne budowy w okolicy? postawiono kościoły, kamienice, stajnie! Co za świętokradztwo! Mówiono mi, jeszcze

przed laty kilka były tu komnaty zupełnie całe? W tych okolicach miały być wielkie bitwy?

Machnicki wciąż milczał, tylko się coraz widoczniej zachmurzał, czasem wyrzekł: tak — lub nie, — porwał się potem z miejsca i zawołał:

— Po mojem królestwie nie można podróżować zwyczajnym sposobem wędrowców. Są pewne formy, których nie wolno przelamać. Chodź pan ze mną — niebo coraz bardziej się zachmurza, będziemy mieli burzę, korzystajmy z pogody.

Przyszliśmy tedy pod jedną wieżę okrągłą, poszczerbioną, ale jeszcze znacznej wysokości.

— Masz pan mocną głowę? umiesz drapać się po murach? wejdziemy na tę wieżę.

Zmierzyłem, opatrzyłem ją i widziałem, że po jej szczytach, jak po schodach, można się na sam wierzch muru wydostać, przystałem więc na żądanie Machnickiego. On przodkował z nadzwyczajną zręcznością; po chwili staliśmy na szczycie, nad wysokość reszty zamczyska wyżej niż wierzchołki drzew okolicznych, z widokiem swobodnym na wszystkie prawie strony.

— Co za widok! — zawołałem — sędzę, że promień jego ma przynajmniej kilka mil długości.

— Kilka mil! — powtórzył Machnicki, patrząc mi w oczy, — i to poeta tak się wyraża? poeta tyle tylko widzi? A ja, kiedy tu wejść, kiedy położyć oko na tych górach i tracę je myślą, wnet lecę chmurą grzbietami całego łańcucha Karpat, ocieram się o morze Czarne, przepływam Dniepr, biegnę drugim jego brzegiem, ponad Dźwiną przechodzę do Bałtyckiego morza, płynę jakiś czas morzem, zawijam w ujście Odry, i ponad Odrą wpadam znowu na Karpaty; a zawsze pilnując się krawędzi tego horyzontu. — Rozumiesz mię pan?

— Nie wiem, czy tyle, ilebyś pan chciał być zrozumianym.

W tej chwili na twarzy Machnickiego objawiała się jakaś dziwna wewnętrzna walka, jak żeby słowa ogromnego znaczenia darły się do ust, a myśl tajemnicy gwałtem je zatrzymywała.

— Nie, nie! — zawołał wkońcu — lepiej być niepojetym, jak narażonym na zdradę.

Wnet postrzegł się, że wybuchnął z czemś niewłaściwym, zwrócił się ku mnie, wziął z dobrocią za rękę i pytał:

— Co ja powiedziałem? może niedorzeczność. Przebacz pan! — wszak wiesz, żem warjat — i ja to wiem. Ja sam często postrzegam, że mi się wynknie słowo, ni przyszył, ni przylatał, jak powiadają. To warjacja, warjacja! Ale to nie warjacja, że potrzeba tak widzieć, jak ja widzę z tego miejsca, aby je pojąć. Wtedy dopiero wiedziałbyś pan, jak przyjmować powszednie bajeczki, które mu naklektano. Chodźmy stąd.

Spuściliśmy się znowu na dół w milczeniu. Przez ten czas rozważając w duchu dziwną istotę Machnickiego, mniemałem dostrzec w nim przeważający żywioł poetycki, który przy osłabionych innych władzach umysłu panował nad nim¹ tem silniej i stał się dla jego duszy szkłem optycznym, pokazującym jej cały świat w postaciach powiększonych i upięknionych za rzeczywistości; widziałem, że go razila moja prozaiczna szczerota, odtąd więc postanowiłem być z nim poetą. W tem zamysleniu postępowałem w głąb zwalisk, kiedy Machnicki wstrzymał mnie:

— Za pozwoleniem! — rzekł — panu wolno tu błądzić, ale nie mnie. Pan nie widzisz, jak ja, przeszłości; nie widzisz tu, jak ja, jej śladów; ciężkobym przewinił, żebym się ich nie trzymał; okropniebym za to odpokutował. Chcesz pan mieć wyobrażenie mojej kary? pojrzyj na te miliony dokoła. Zresztą, jako król, mam także moje

¹ W pierwodruku: *panował mu.*

dworskie obrzędy, których się trzymać i których przestrzegać muszę.

Zwróciliśmy się więc nazad, w kierunku południa, i wyszliśmy zupełnie za obręb gruzów. O kilkanaście kroków leżał ogromny głaz samorodny. Machnicki doprowadził mię ku niemu i rzekł:

— Przedewszystkiem cześć grobom! Tu, pod tym kamieniem, leży ostatnie półtora wieku. Olbrzymie zwłoki! nieprawdaż? Kto nad nimi nie pomodli się, ten jak niegodny, niepoświęcony, wchodzi do tego zamku, do całej przeszłości. — Poczem zdjął kapelusz, ukląkł, dał mi znak, żebym to samo zrobił; wpatrzył się w kamień, nieznacznie twarz jego zmieniła się w bryłę bez wyrazu prawie życia, jak żeby duszę uniosło jakieś zachwycenie daleko od ciała; mimo to rzesne łzy posypały się z oczu, a usta, jakby obcym głosem, jakby poruszone zewnętrzną sprężyną, przemawiały te słowa:

— Każesz! słucham. Jeszcze raz posiewam cię łzami. Na łzach mech wyrasta, ze mchu ziemia. W ziemi skrywa się ziarnko, z ziarnka strzela drzewo — tak Karpaty lasami porosły: tak ty, grób, porośniesz nowem życiem. Płynicie łzy! policzą was kiedyś, zapłacą!

Skończywszy ów dziwny monolog, był jeszcze jakąś chwilę w stanie zewnętrznego odrętwienia; powoli ruszył okiem, życie wróciło do twarzy, powstał, pojrzał na mnie, i obcierając ślady łez, zapytał:

— Płakałem? Nie dziw się pan — ile razy je widzę, tyle razy płakać muszę. Ale i to paroksyzm warjacji, powiedzą sąsiedzi; nieprawdaż? O, gdyby każdy z nich miewał podobny przynajmniej raz z rana, a raz na wieczór, ten zamek stałby jeszcze cały, a przynajmniej już odbudowany. Widzisz pan dokoła te głazy? Wszystkie to są groby, ale jakie groby! Całe zastępy bohaterów, czyny wiekowe, miasta, wieki, kraje, leżą pod nimi. Ten na boku naprzykład, u samego wchodu do zamku, kryje wyprawę wiedeńską... Ale za mało

dziś czasu na obejrzenie całego cmentarza, burza nam przeszkodzi.

W samej rzeczy, im wyżej słońce się podnosiło, tem większy zaduch napelniał powietrze, chmury gęstniały i grzmot burzy co chwila groził.

— Przebyliśmy święty próg zamku, możemy wejść wewnątrz! — rzekł Machnicki i szedł przodem.

Ostatnia scena przy głazie wpłynęła osobliwym sposobem na mój umysł, uderzyła naprawdę w poetyczną strunę duszy. Jakkolwiek poetyczność Machnickiego objawiała się zanadto może jaskrawo, była nią jednak, i przepłynęła do mojej fantazji, pozwólmy, że jak tchnienie zarazy. Owo przeobrażenie gładów prostych w podobne nagrobki zdało mi się być pomysłem tak pięknym, otwierało takie pole fantazji, że mimowiednie wszedłem w świat Machnickiego. Kupa gruzu przemieniła się dla mnie w zamek, jaki był przed wiekami;¹ ściany się podniosły w rozgrody pokojów starożytnych, wysokich, chmury opadły jak sklepienia, wyciągnęły się długie korytarze, wyrosły z ziemi kolumny, a na nich rozwinęły się krużganki, okna pojrzały różnobarwnymi szybami, cały gmach odetchnął przeszłym życiem, w każdej części zmartwychwstały ślady mieszkańców. Głuchy odgłos dalekiego grzmotu, było to echo naszego stapania po brzmiających posadzkach. Nie spotykamy wprawdzie nikogo, wszędzie pusto i głucho, ale ta pustka, ta cisza, są chwilowe: pan zamku wyjechał gdzieś z całym dworem, ale wróci. W możność takiego złudzenia nie wszyscy uwierzą; są, którzy je pojma: krótko trwa ono, ale się przytrafia obłąkanym i poetom. Byłem właśnie w jego pełni, kiedy ujrzałem w jednym oknie rosnącą brzoźkę. Jej korzeń trzymał się wewnętrznego gzymsu, a wierzchołek na zewnątrz za okno wy-

² Patrz objaśn. do tego ustępu we Wstępie, III: *Wpływ poezji Mickiewiczowskiej.*

chodzil; gałęzie wisały tak posepnie, biała kora tak żywo przypominała biały strój kobiecy, że mimowolnie zawołałem:

— Jaka smutna! Jak gdyby wyglądała kochanka!
Biedna!

— Kto taki? — zapytał mię zdumiony Machnicki.

Postrzegłem się, odpowiedziałem więc, uśmiechając się:

— Nic! nie! przywidzenie! nie więcej. — Naglił powtórne pytanie, wyznałem, że w brzozie wyobraziłem sobie dziewicę.

— Cyt! — rzekł zcicha — wyjdźmy stąd.

Ledwośmy odeszli, rzucił się na mnie z mocnym uściskiem i wołał:

— To nie złudzenie, to rzeczywistość, cud grobu, łaska grobu z panem. Czy wiesz, kogo widziałeś? — zapytał, uspokoiwszy się nieco. — To królowa Jadwiga. A widziałeś ją w najważniejszej chwili jej życia. Serce jej rozdarła najboleśniejszą raną. W jedną stronę ciągnie ją miłość Wilhelma, w drugą miłość narodu. Przemogło poświęcenie się dla narodu, ale boleść nie ustąpiła. Wygląda z trwogą przybycia Jagielly, przyjmuje go jak męża i pana, ale lzy dla kochanka płyną. Szczęśliwy, kto ją widział w tej chwili, choć raz w życiu; widział on triumf miłości narodu. Szczęśliwy jesteś. Dusza twoja przejrzała, spodziewałem się tego. Odtąd jeszcze otwarciej będziemy z sobą. I mnie ten widok nie obcy, ale rzadki. Najczęściej przedstawia mi się jak drzewko. Między nami gadają, że to wszystko było gdzieś tam, w jakimś Krakowie. Nie wierz temu: i Kraków tutaj, i cała ta scena tu się odbywała. Wiem to z ust własnych.

— Pan z nią rozmawiasz?

— Czy ja z nią rozmawiam! A pocóż byłbym królem tego zamku? Jeżeli w nim żyje, to dlatego, że i on żyje. Nic tu niema, coby nie żyło dla mnie, coby

ze mną nie rozmawiało! O! jak mnie nieraz bawia, a najczęściej gniewają ci powszedni ludzie, którzy tu czasem, nie wiem poco, przychodzą. Dla nich te drzewa¹, kwiaty, murawa, nie więcej, jak tylko zwyczajne drzewa, kwiaty i murawa. Biedni, gdyby im Bóg otworzył oczy, gdyby się chcieli porozumieć ze swoją duszą, padaliby tu na twarz przed każdym kwiatkiem, całowałiby w nogę każde drzewo, nie śmieliby stąpać po tej murawie. Zamieszkaliby tu chętnie na całe życie, i przez całe życie nie napatrzyliby się, nie nasłuchaliby się tego, co się tu działo i dzieje.

Tymczasem przewidywana burza podniosła się na wysokość zamku, powietrze całkiem ściemniało, grzmoty i błyski coraz bliżej się objawiały i wiatr z niezwykłą się podniósł gwałtownością. Nie spodziewając się takiej i tak prędkiej nawałnicy, nie zapewniłem sobie schronienia; począłem więc być niespokojny i zapytałem Machnickiego, czy nie wie gdzie bliskiej chaty, w którejbym bezpiecznie przeczekał pierwszą natarczywość burzy.

— Bądź pan spokojny! — odpowiedział — jestem królem w mojem państwie, wszystko już obmyślone. Nie każdemu bym to zrobił, nie zrobiłem tego nikomu dotąd, ale pan masz wszelkie prawo do mojej gościnności, pod jednym warunkiem:

— Pod jakim?

— Dasz mi najuroczystsze słowo, że nikt nie dowie się z jego przyczyny o miejscu, w którym się schronimy.

Dałem słowo z chęcią.

— Chodź pan za mną.

¹ W pierwodruku: *Dla nich to drzewa.*

IV

PODZIEMIE

Związany słowem danem przed chwilą Machnickiemu, muszę zawiesić na zawsze ciekawość czytelnika i zostawić w tem miejscu przerwę opowiadania, której może nigdy nie zapełnię. Wolno mi tylko powiedzieć, że nie wychodząc z obrębu gruzów, zatrzymaliśmy się nad głazem znacznej wielkości. Machnicki zlecił mi obejrzeć się na wszystkie strony, czy nie jesteśmy widziani przez kogo obcego, a kiedy to dopełniwszy, zwróciłem się ku niemu, ujrzałem ów kamień już podniesiony, a na jego miejscu ciemny otwór pod ziemią.

— Spuszczaj się prędko! — zawołał.

Zrobiłem jak kazał, on skoczył za mną; w okamgnieniu kamień znowu zapadł i zostaliśmy w zupełnej ciemności.

— Taka jest brama mojej stolicy — rzekł Machnicki. — Idź pan za mną, trzymaj się ściany, a pamiętaj, że mamy przed sobą dwadzieścia schodów.

Szedłem, trzymając się kroków przewodnika, macając ścianę i licząc stopnie. Schody były wygodne, szły podziemia tak wąska, że ledwie dwóch ludzi obok siebie pomieścić mogła, bez trudu więc szedłem. Na dwudziestym stopniu zatrzymaliśmy się; Machnicki skrzesał ognia, zapalił lampę stojącą w małej framudze, jakby umyślnie na to wykutej, i przemówił:

— To pierwszy dziedziniec mojego pałacu; cóż myślisz o nim?

Powiodłem okiem dokoła i widziałem niekształtną jaskinię, obszerności tak nieznacznej, że jeden rzut oka z któregokolwiek punktu mógł ją całą ogarnąć, chociaż przy świetle tak słabem jak blask lampy. W utworzeniu jej nie widać było śladu sztuki; pod ścianami stały lub leżały ludzkie kości, na ścianach wisiało kilka zbroi starożytnych, mocno zardzewiałych.

— Zapewne to straż pałacowa? — rzekłem.

Machnicki potwierdził mój domysł skinieniem głowy. Głównie jednak zwróciły moją uwagę drzwi dosyć wielkie, żelazem pokryte, leżące po lewej ręce naszego wchodu.

— A to musi być wejście do podziemnego przechodu, o którym powiadają, że się aż pod Krosno ciągnie?

— Może i dalej — odpowiedział Machnicki obojętnie.

Po krótkiem zatrzymaniu się, przystąpił do innych drzwi, podobnych pierwszym, a leżących przed nami, dobył klucza, otworzył je, sprowadził mię o kilka stopni niżej do innej jaskini, obszerniejszej nierównie niż poprzednia. Z pierwszego wejrzenia zgadłem, że to było jedno z owych okropnych więzień, które koniecznie wchodziły do budowy dawnych zamków; jeszcze wisiały szczątki łańcuchów na żelaznych kółkach, wpuszczanych w kamień na ołów. Machnicki, nie dając mi czasu do rozpatrzenia się, uchylił jedne z licznych drzwi pobocznych, wprowadził mię do nowej kryjówki z tajemniczem milczeniem, zapuścił w jej głębie wyciągniętą rękę z lampą, a ja wyraźnie ujrzałem pod ścianą drewniane i żelazne narzędzia tortur.

Mimowolny dreszcz przebiegł ciało, włosy stanęły na głowie, cofnąłem się za drzwi jak popchnięty. Okropna przeszłość miejsca zawisła przed myślą¹ jak

¹ Podany tu obraz miejsca tortur i cmentarzyska więziennego powstał prawdopodobnie pod wpływem pokrewnego

czarna zasłona, a tłem jej przesuwwały się w ognistym malowidle sceny tyranji, jakich kiedykolwiek naczytałem się lub nasłuchałem w opisach miejsc podobnych, jakie tylko wyobraźnia, przerażona ich widokiem, utworzyć sobie potrafi. Wrażenie to zagrało naraz we wszystkie zmysły: w powietrzu uczułem duszącą woń trupiej zgnilizny, każde uderzenie stopy o twardą posadzkę, odbite echem jaskini, zamieniło się w jęk przeciągły, ciemność i światło lampy, połamane wzajemną walką, wyglądały z poza kolumn samorodnych i z załomów skalistej ściany postaciami ofiar mniej więcej wyraźnemi, blademi; jak żyję, nie miałem podobnego widzenia.

Machnicki stał ciągle w izbie tortur; szybko zbliżyłem się ku niemu, a ujrzawszy przed nami nowe drzwi, napół uchylone, chciałem wyjść przez nie i pociągnąłem za sobą Machnickiego. — O, nie! — odezwał się Machnicki głosem uroczystym — z tego miejsca nie było i niema wyjścia, chyba tamtędy.

Na tych słowach otworzył do reszty drzwi uchylone i wskazał za niemi stos kości w dole, a w górze wąski otwór, przez który wpadało cokolwiek dniowego światła:

— Jest to cmentarz więzienia!

— Wychodźmy stąd! — zawołałem z niecierpliwością — wychodźmy któredykolewkie, bylebyśmy wyszli, — i drżąc mimowolnym dreszczem, ciągnąłem w tył Machnickiego.

On, przeciwnie, miał twarz ciągle obojętną, zimną; uległ mi jednak i wrócił do jaskini więzienia, ale tutaj zatrzymał się, utkwił we mnie przenikające oczy, i mówił powoli, zatrzymując się na pewnych wyrazach, niby przywiązując do nich większą wagę.

— Tak, jest to więzienie zamkowe. Miejsce okropne,

obrazu w *Nieboskiej Komedji* Krasieńskiego (Orcio i Mąż w więzieniu podziemnym).

okropniejsze może, niż ci się wydaje, bo nie widzisz w niem nic więcej nad więzienie zamku, a ja... ja coś więcej tu widzę. Jestem jednak spokojny, przynajmniej taki jak zawsze, a ty drżysz, jesteś cały zmieniony. Dziwi mię to. Cóż lepszego twój świat, w którym żyjesz? O rozumni ludzie, jacy wy zabawni, dziwni! Nie obudzisz ich pojęcia, nie domacasz się ich duszy, dopóki nie skupisz wrażeń w jeden piorun i nie uderzysz ich zmysłów jak piorunem. We wszystkim zmysły, nigdzie duszy. Nigdzie duszy, któraby swoją potęgą ogarnęła przestrzenie i miliony, skupiła je w mikroskopie jednej myśli, jednego uczucia. Daj mu za więzienie obszar kilku tysięcy mil, a ma się za wolnego; morduj około niego tysiące, niech tylko nie słyszy ich jęku, nie widzi ich trupów; a będzie dobrze jadł, spokojnie spał, będzie wesoly, szczęśliwy, jak w raju. Dopiero kiedy go wprowadzisz między ściany jaskini, kiedy mu pokażesz kości zamordowanych, zabrzęczysz w uszy łańcuchami, kiedy mu powiesz: oto twój świat, oto twoje życie, — dopiero wtedy ocknie się, zadrży, jakby mu powiedziano coś nowego; i tacy ludzie mają być ludźmi zdrowego rozsądku? silnych zmysłów? a ja ci powiadam, że to są ludzie zmysłów zużytych, niedołężnej myśli, skrepowanego ducha. Cała ich mądrość, że znają kilka liter zmysłowych; nie mają wyobrażenia o języku duszy, bez którego i sam się nie nauczysz, i nie nauczysz drugich nic szlachetnego, nic wzniosłego.

Zatrzymał się na chwilę, a zmieniając nagle ton głosu i cały wyraz twarzy w łagodniejszy:

— Przebacz! — zawołał — przebacz warjatowi to kazanie. Nie do ciebie ono wymierzone. Nie kładę ciebie na równi z resztą ludzi. Dałeś mi już niejedyn dowód, że dusza twoja ma widzenie silniejsze, rozleglejsze: nie jest na łasce zmysłów. Gadałem sobie ot tak! z potrzeby wygadania się, w chęci jak najbliższego poznania się z tobą; gadałbym, bo to jest rozkosz po-

mówić z człowiekiem, który nasz język zrozumie. — Teraz pójdziemy dalej.

Mimo wszystkiego, co Machnicki dopiero powiedział, opuściłem więzienie z prawdziwą przyjemnością. Wróciliśmy drogą, którąśmy przyszli. Zatrzymaliśmy się znowu w jaskini wyższej, przede drzwiami, o których już wspominałem, a które według wszelkiego podobieństwa zamykały podziemną wycieczkę z zamku na zewnątrz.

Drzwi były mocne i ciężkie; z głuchym zgrzytem ustąpiły pod Machnickiego ręką i odsłoniły nam nowy korytarz, dosyć przestronny, przykro w dół spadający; jakoż po kilku krokach zaczął się nowy szereg stopni, prowadzących coraz głębiej. Skracając o ile można i trzeba opowiadanie, nadmienię tylko, że przebyliśmy pięć czy sześć jaskiń rozmaitej wielkości i tyleż pięter schodów mniej więcej licznych. Głębokości, w jakiej byliśmy, po niczem zmiarkować nie mogłem, zdawała mi się jednak ogromną. Szliśmy ciągle podziemiem skalistym. W niektórych miejscach ślad ręki ludzkiej był widoczny, częściej samorodna objawiała się przyroda. Uważałem czasem mniej więcej obszerne w ścianach otwory, z których domyślałem się różnokierunkowych rozgałęzień tegoż samego przechodu. Szliśmy w takim milczeniu, że przewodnik nie odpowiedział nawet na kilka zapytań, które mu w ciągu tej wędrowki zrobiłem. Było w tem milczeniu coś uroczystego.

W dziwny też stan przechodziły wyobraźnia, dusza i wszystkie moje władze; kto nie był w podobnem położeniu, ten nie zdoła utworzyć sobie jego pojęcia. Na to potrzeba znajdować się o sto przynajmniej sążni pod ziemią, wśród skał nagich, dzikich, jednostajnych, ze wspomnieniami tylko dniowego światła i żyjącej przyrody, w ciszy tak zupełnej, że odgłos burzy, nieustannie piorunującej z całą potęgą¹, wyraźny z po-

¹ W pierwodr.: *i z całą potęgą.*

czątku, gluchnąc stopniami, objawiał się teraz jedynie w ciągłym prawie drzeniu ziemi i dziwnym jakimś brzęku głazów, którego po żadnym wiadomym nam dźwięku wyobrazić sobie nie można. Nie pojmowałem równie, dlaczego mimo większej coraz głębokości odgłos ten zamieniał się w coraz wyraźniejszy huk piorunów. Nagle huk ten rozległ się grzmotem tak silnym, jak żebyśmy zwyczajną tylko ścianą przedzieleni byli od reszty świata.

Machnicki zatrzymał się; w twarzy jego ujrzałem podniesienie ducha, promieniące na tle pogodnego, cichego zadowolenia, a w całej postawie coś triumfalnego.

— Słyszałeś ten piorun? — zapytał mnie.

— Słyszałem.

— Wiesz, co on znaczy?

Odpowiedź w duchu zapytującego niełatwa była. Machnicki, bądź widząc mój kłopot, bądź przez zwykłą sobie żywość, która często nasuwała mu rozwiązanie własnych jego zapytań, przyszedł mi teraz w pomoc.

— To strzał powitania! — odpowiedział — powitanie królewskie, nieprawdaż? A tę niespodziankę winien jestem mojemu gościowi — tak, tobie, jak na ten raz, jestem ją winien, mój gościu szanowny! — dodał, ścisnąc mnie serdecznie za rękę. Za chwilę sam to pojmiiesz.

Po tych słowach postąpiliśmy naprzód kilka kroków, stanęliśmy przed niewielkimi drzwiami; Machnicki otworzył je lekkim ku sobie pociągnięciem i wprowadził mnie do nowej jaskini.

Tu obracając się do mnie, rzekł z pewną urzędową powagą:

— Nakoniec jesteśmy u celu naszej wędrówki. Otóż i stolica króla zameczyska. Stolica, pałac, więzienie, piekło, raj, co chcesz. Ale o to mniejsza, dosyć, że cię witam w tej chwili jak gospodarz gościa, jak brat brata; powitanie królewskie na później zostawimy. Jesteś

znużony, nieprawdaż? odbyłeś przechadzkę mordującą, pora późna, lekki posiłek nie zawadzi, wszak tak? pozwolisz więc, że zacznę od ugoszczenia podróżnego. Gościnność to cnota naszych przodków rodzima, wielka, święta, jeden z klejnotów domowego ich życia. Znam całą wartość podobnych skarbów; nie pozbyłbym się najlichszego z nich za nic w świecie: to podstawa publicznej narodowej potęgi. A jeżeli kto, to król powinien dawać przykład troskliwości o nie. Siadaj więc i spocznij. Albo lepiej, zostawiam ci zupełną wolność. Jesteś zapewne ciekawy rozpatrzyć się w moim pałacu. Rób, co ci się podoba, ja tymczasem zajmę się posiłkiem.

To pozwolenie było mi bardzo na rękę. Pałac Machnickiego, jak go nazwał, zasługiwał ze wszech miar na bliższe rozpatrzenie się, sądząc nawet, że rysem jego dogodzę potrzebie czytelników, którzyby mieli dłuższą cierpliwość towarzyszyć aż do końca mojemu pobytowi z Machnickim.

Jaskinia ta była obszerniejsza, jak wszystkie zwiedzone dotąd; miała ona kształt wielokąta okrągłego, około pięćdziesięciu stóp obwodu, ile od oka sądzić mogłem. Do jej budowy wchodziły dwa ogromne głazy, poziomo względem siebie leżące; niższa, główna część pieczary wykuta była w głazie spodnim, wierzchni zaś, wyżłobiony wklesło, tworzył sklepienie; rozdzielala je szeroka szczelina, opasująca niby gzymsem całą jaskinię. Szczelina ta, w stronie przeciwległej drzwiom wchodowym rozszerzona sztuką w okrągłe otwory, a zresztą założona kamieniami, zamieniała się w samorodne okna, które przez swój kształt lejkowaty na zewnątrz jaskini dawały swobodny widok na ogromne płaszczyzny, u stóp zamkowej góry leżące, i wpuszczały wewnątrz tyle dniowego światła, ile go potrzeba było, aby się obejść bez sztucznego oświetlenia. Dotąd dwa takie okna widziałem; za ich pomocą przekonałem się, że góra z tej strony zbiegała urwisto do dołu. Wewnętrzne urządzenie i przy-

ozdobienie pieczary dziwny miało pozór: ściany, sklepienia, posadzka nawet, były mchem nałożone tak grubo, że widok głazu ginął pod nim zupełnie. Kątowość ich obwodu tworzyła kilkanaście ścian, z których co druga ścianą wyrobiona była w głęboką framugę. Ściany wystające ozdobione trofeami ze strzał, mieczów, strzelb, pancerzy i innej broni, bądź dawnej, bądź nowszej, tak, że to ubranie dawało pieczarze pozór zbrojowni, a przynajmniej jakiegoś muzeum rycerskiego; gdzieś wisiły herby kamienne, ocalone widać reszki z gruzów zamczyska, kilka starych portretów, a nawet kości ludzkie pomieszane w trofea broni. Szczelinę, o której wspomniałem wyżej, że opasywała pieczarę nakształt gzymsu, przyodzabiał łańcuch kul rozmaitej wielkości, poprzerwany w odstępach wymierzonych trupiami głowami, co wszystko razem dziwny przedstawiało widok i niepojęte robiło wrażenie. Za ramy do framug służyły pęki młodych drzewek: każdy pęk, przewiązany w połowie swojej wysokości, rozdzielał się od przewiązki na dwie części i wierzchołkami ich łączył się na obie strony z pękiem najbliższym, w tenże sposób urządzonym; tworzył się stąd dokoła pieczary szereg kolumn i łuków gotyckich. Nadto pod każdą ścianą były wygodne siedzenia z kamienia, jednorodnego ze ścianami. Framugi zasłonięte makatami i adamaszkami, ocalonemi widać szczątkami zamkowych obić.

Najmocniej zajęła mię framuga naprost drzwi wchodowych leżąca. Po obu stronach jej otworu stały dwa szkielety, odziane całkowitem uzbrojeniem dawnych husarzy, z kopjami tak nachylnemi ku sobie, że proporce ich, zwisłe aż do ziemi, układały się w rodzaj zastony. Nad wnijsciem wisiał rozpięty orzeł rzeczywisty.

Idąc od tego miejsca ku drzwiom lewą stroną pieczary, w najpierwszej z porządku framudze znajdował się mały księgozbiór; składał się on z kilkuset książek, między którymi największa część, jak mi się zdawało, starych kronik; na środku stał stolik do pisania z całym

stosownym przyborem i wygodnem staroświeckiem krzesłem. Sam stolik, roboty prostej, ale dosyć starannie ogladzony, leżał na czterech klockach, korą okrytych, po dwa w głoskę X związanych; a tak był ustawiony pod jednym ze wspomnianych okien, że pasmo światła jak raz na niego padało i pracującego przy nim oświecało dostatecznie. Na stole leżała ogromna księga, w większej połowie zapisana. W następnej framudze była sypialnia Machnickiego: za łóżko służyła ogromna kamienna płyta, wzniesiona o pół łokcia nad posadzkę i grubo mehem usłana; pościel zaś składała się z losiej skóry, poduszki skórzanej i koca do przykrywania się.

Co się tyczy innych framug, wszystkie prawie służyły za skład jakiś: i tak jedna zapelniona była materiałami potrzebnymi do stolarki, ślusarki, szewstwa i krawiectwa; w drugiej złożone były stosownie do różnych rzemiosł narzędzia, jako to: siekiery, heble, pilki; w dalszych mieściła się spiżarnia: składała się ona z owoców, nabiału przyprawnego, suchych ryb, wędzonych mięs, jarzyn, chleba, i tym podobnej żywności. O ile opisanę miały pozór powszedni, o tyle zajęła mię ostatnia. Leżała ona po prawej ręce miejsca zasłoniętego proporcami, pod oknem do pierwszego podobnem, odpowiadając bibliotece. Miała kształt półokrągły; wysłana była mehem, jak cała pieczara, tylko nierównie ozdobniej i smakowiciej, bo na tło mchu rozrzucono konchy, muszle, świecące kamyki, szkła różnokolorowe, robaczki o błyszczących skrzydełkach i tym podobne. Głównie jednak przyozdabiało ją okrągłe, jasne źródło; leżało ono wśród posadzki jak okrągłe lustro: zrównoważony przyływ i odpływ wody utrzymywał je w stanie wiecznego wygładzenia; dodawało mu blasku okno, jakby umyślnie na to wyrobione, ożywiał zaś lekki, podziemny szelest, który szeptał o tajemniczych drogach jej nurtów, a nie klócił bynajmniej spokoju powierzchni. Musiała to być godowa izba Machnickiego, gdyż u dołu całej ściany wystawało

półkolem kamienne siedzenie, a siedzenia dotykał stolik, umieszczony jak raz na jego połowie; w tej chwili stało na nim śniadanie, do którego właśnie mię wzywano. Wprawdzie dostarczyła go tylko spiżarnia Machnickiego: nie było tam nic więcej prócz sera, masła, owoców, mięs wędzonych i chleba, a za cały napój woda, pod bokiem stojąca, ale tak potrzebowałem jakiegokolwiek pokarmu, spotkałem się z nim w tak dziwnem miejscu i położeniu, zawezwano mię z taką serdecznością, że w całym życiu nie pamiętam chwili jedzenia przyjemniej spędzonej. Mogłem oddać się zupełnie tej przyjemności, bo uprzejmy gospodarz wziął na siebie wszystkie niedogodności podobnej we dwóch biesiady, nawet rozmowę; przedmiot jej sam się nastęczał.

— Skromny posiłek, — mówił on — skromny, a nawet lichy, to prawda; ale królewski, wysoce królewski. Komuż przystoi bardziej żyć podobnie, jeżeli nie królowi, jeżeli nie takiemu jak ja człowiekowi, który z wysokości swojego stanowiska ogarnia, a przynajmniej powinien ogarniać miliony biedaków, widzieć wszystkie ich potrzeby, czuć wszystkie nędze. O tak! niech mi się w truciznę zamieni pierwszy kąsek, który pożyję bez koniecznej potrzeby, niech mój żołądek na wieki się zamknie, jak tylko zażąda zbytkowego pokarmu. Jem tylko tyle, abym żył, tylko tyle, w całym znaczeniu tego wyrazu. Zresztą odwykłem od waszych przyprawnych potraw. Zginałbym, gdybym zechciał żyć po waszemu. Zaszedłem z przyrodą tak daleko, w tak bezpośrednie stosunki, że jużbym nie mógł przენiewierzyć się jej bezkarnie. Grzeszę jednak czasami, ale Bóg świadkiem, że mimowolnie. Kiedy niekiedy muszę zamieszać się pomiędzy ludzi, bo zwykle całe zimy pomiędzy nimi przepędzam, dla spraw mojego królestwa, a wówczas rad nierad muszę zastosować się, choć w części, do ich sposobu życia. O! gdybyś wiedział, jak drogo muszę opłacać te wykroczenia; ciężko pokutuję za nie. Pomijam choroby, tortury ciała; ale umysł, serce, dusza, wszystko

idzie pod chłostę, myśl gaśnie, serce stygnie, dusza wpada w jakiś dziwny zawrót, opuszcza mię cała moja królewskość; nieraz jestem już bliski zostania jednym z waszych rozsądnych. Dzięki Bogu, że to wszystko trwa pewny czas tylko; pokuta przemija, jednam się z przyrodą, państwo wraca do posłuszeństwa, i jestem znowu królem, jak byłem. Ale o to mniejsza. Jakże znajdujesz moje królewskie mieszkanie?

— Prześliczne! — odpowiedziałem bez namysłu — dziwne! tak poetyczne, że opis jego może się wydać zmyśleniem; jednym słowem godne całego państwa i jego władcy. A uwielbieniu temu równa się ciekawość...

— Rozumiem, — przerwał Machnicki — chciałbyś wiedzieć, skąd się ono poczęło i jak przyszło do tego stanu? — Będiesz to wiedział w swoim czasie; przebacz, że nie zaraz. Powieść za długa, a rzecz ważna, jedna ze świętych dla mnie tajemnic; ubliżyłbym jej, gdybym ją wyłożył na stół zamiast wetów. Żeby ją godnie opowiedzieć i usłyszeć, potrzeba stosowniejszego miejsca i pory, niż chwila jedzenia i stół zastawiony jadłem. Ułatwimy się wprzód z jednym.

Nieposłuszeństwo byłoby niewczesne i bezskuteczne; poszedłem więc w milczeniu za radą gospodarza; wiedziałem nadto, że nie stracę na tem, jeśli mu zostawię zupełną swobodę postępowania. Skłonność wywnętrzenia się posuwała się w Machnickim aż do namiętności, aż do słabości; podawał się jej tem swobodniej, z tem większą rozkoszą, im powolniejszego znajdował słuchacza; wtedy powiedział więcej, niżby chciał powiedzieć. Powiniennem jeszcze wyznać, że rozmowa jego bynajmniej mię nie nużyła. przeciwnie, miała szczególniejszy urok. Tyle tam było życia w głosie, tyle uczucia w każdym ruchu, tyle duszy w całej postawie, tyle wzniosłej fantazji w pomysłach, tyle trafnego sądu w uwagach, wogóle taka logiczność, ma się rozumieć logiczność

właściwa stanowisku, z którego na wszystko zapatrywał się Machnicki, tyle prawdy i pożytecznej nauki w głębi jego obłąkania, pod dziwaczną barwą panującej myśli coś tak niepospolitego, coś tak rzewnego, że porwany wirem improwizacji, zapomniałem o królu zamczyska, o obłąkańcu, a wchodziłem mimowolnie w stan człowieka, który czyta piękną fantastyczną powieść, lub patrzy na przedstawę jakiej fantastycznej sceny.

Znalazłem się¹ właśnie w podobnym stanie, kiedy Machnicki po krótkim milczeniu znowu tak zaczął z uśmiechem zadowolenia, że znalazłem jego mieszkanie, jak sobie życzył:

— Przyznajesz więc, że mój pałac jest prawdziwie królewski. Spodziewałem się tego, bo wiem, że patrzysz okiem duszy niepospolitej. Ale dotąd widzisz tylko ciało; nabierze ono większej wartości, kiedy ci odślonię jego duszę, bo w każdej rzeczy dusza jest wszystkim. Stąd zwyczajni ludzie w ciągłym są złudzeniu, że z powierzchowności tylko sądzą. Któryż z nich, wejrzawszy na górę zamczyska, domyśli się miejsca, w którym oto jesteśmy, i życia, które tu w tej chwili panuje?²

— Zmyślenie! bajka! zawołałiby, gdybyś im o tem powiadał. Sami jednak wiecznie tworzą kłamstwa i wierzą kłamstwom. Naprzykład na karb tego zamku i jego króla Bóg nie wie co plotą; a wszystko tak prozaiczne, drobne, nikczemne. W niczem śladu, w niczem promyka wielkiej myśli.

— Koniec końców, zamek dla nich to tylko budynek kilkuwiekowy, dzisiaj gruzu na nic nie przydatne, chyba na materiał do jakiej gorzelnii. Machnicki? ot sobie warjat, ale nic więcej, i zamykają usta spokojni, jak żeby największą prawdę powiedzieli. Nie lepsze od nich

¹ W wydaniu z r. 1870: *Znajdywałem się.*

² W pierwodruku: *pracuje.*

kroniki, a przynajmniej mało co lepsze. Co to za nędza te wszystkie kroniki! wierzyłem im kiedyś, mam je dotąd jeszcze, ale dzisiaj nie wierzę. Prawda, trzeba było cudu, żeby mi się oczy otwały, ale się otwały: jestem dziś w samym źródle prawdy. Spytaj kronik o początkach tego zamku — odpowiedzą ci: o, dawny! kilka już wieków stoi. Nie wiedzą nic o tem, że on trwa od potopu. Ziarno jego przyplęnęło z wodami potopu, z rajy; spoczęło w tej pieczarze, przebiło swoim kielkiem skały i wyrosło w zamek. Z czasem, z czasem zamek praojciec rozpuścił swoje korzenie podziemne, Bóg wie, jak daleko, za dziesiąte góry, za dziesiąte wody; Bóg wie, jakie zamki powstały z jego odrośli: warszawski, krakowski, gnieźnieński i krocie innych, i Bóg wie, jakie jeszcze powstaną; ale to tylko odrośle; główny ich korzeń tutaj, tutaj kołyska ich dziejów.

— Zdziwisz się, kiedy ci powiem z pewnością, że tutaj mieszkali wszyscy królowie od pierwszego aż do mnie, owe Lechy, Krakusy, którzy nie byli ani takimi Lechami i Krakusami, jak nam kroniki przedstawiają, i żyli nierównie dawniej, niż pamięć naszych kronik zasięga. Tu miały miejsce najważniejsze wypadki naszych dziejów. Chwile najwznioślejsze, najrzewniejsze, najokropniejsze naszego życia mają tu swoje groby i pomniki: mówię o tych, które dziejopisowie z łaski swojej zanotowali, a dopieroż te, o których nie zasłyszeli, których ani się domyślali! I nie mogli zrobić lepiej, bo nie znali tego miejsca, nie żyli w niem, nie spoiłi się z niem duszą; a tylko tutaj mogli czerpać wiadomość całej przeszłości, bo tu jest jądro naszego życia.

— Powiadam ci: niema tu ptaka, któryby o tej przeszłości nie śpiewał, niema wiatru, któryby nie wzdychał jej smutkiem; niema kropli rosy, któraby jej łzą nie była; zapytaj każdego cienia chmury, co się po tych gruzach przesuwają, każdego tętentu, ilekroć

nogę postawisz, zapytaj tej wody, co tam wiecznie szepce, a usłyszysz taką powieść, jakiej żaden pisarz dotąd nie wymyślił i wymyślić nie zdoła; trzeba tylko umieć zapytać i słuchać.

— Ten orzeł, co go widzisz nad proporcami, to pierwszy orzeł biały, co się wzniosł nad tą ziemią; on jeden opowie ci całe jej życie.

— Dlatego to osiadłem i zamknąłem się tutaj. Aby ratować życie, trzeba zejść do jego źródła.

— Wyobraź-że sobie moją rozpacz, moją wściekłość, kiedy przyjdę do szlachcica i mówię: mój panie, zamek coraz bardziej niszczyje! — a on mi odpowiada: prawda! ale to takim tonem, jak żeby przyświadczał, że słońce świeci, albo deszcz pada, a myślał o czem innym. Zniecierpliwiony wołam: zamek upada, powtarzam panu; trzeba go ratować wszelkimi siłami, jak najprędzej; on zaś na to: niewarto zachodu. Czasem zrobi uwagę, że będzie ładny las w tem miejscu, albo zacznie ubolewać: co za szkoda, że tyle gruzów, byłby kawał roli i kilka kop zboża.

— Oblakani! głową i sercem! chcieliby wszędzie widzieć swoje liche budowy, swoje warsztaty, swoje zboże. Nie wiedzą o tem, że są miejscą na ziemi, którym jedynie przeznaczono wydawać myśl, pożywienie dusz milionów; obróć je na użytek pojedynczego ciała, a będziesz winny świątokradztwa, popełnisz zabójstwo na duszy narodu. Ale do tego nie przyjdzie. Od czegoż byłbym królem? O! dopóki żyję, nie przyjdzie do tego. Oprę się całą potęgą mojej duszy i duszy zamku. Z ziemią, z powłoką mogą zrobić, co im się podoba, mają przemoc; ale nie dotkną życia; przechowam je, ocale, oddam w ręce pewne, w silniejsze od moich, a wtedy biada, biada samolubom i zdrajcom!

Nagle umilkł: pierś jego robiła silnem wzburzeniem, w oczach gorzał ogień rozplomionej duszy,

marszczki czoła połamały się w tajemnicze charaktery groźby; nie widziałem jeszcze podobnego wyrazu w jego twarzy, w niczyjej może twarzy nie widziałem dotąd wyrazu oburzenia, któryby obok tego łączył w sobie tyle dzikiej energii i wzniosłości; udałem jednak, że uniesienie to uszło mojej bacznosci, i mniemałem ulżyć jemu, zwracając rozmowę do innego przedmiotu.

— Co za szkoda, — rzekłem — że wszystko, co tu widzę, co słyszę, czego zresztą wolno mi domyślać się, pozostanie może na zawsze w twojej tylko duszy, zaeny panie Machnicki, albo zagaśnie w cieniach twojego podziemia. A tymczasem wiadomość tych dziwów, tych dziejów, o których mi napomknąłeś, mogłaby przynieść światu wiele korzyści, kto wie, czy nawet nie jest mu konieczna. Człowiek człowiekowi, pokolenie pokoleniu zdają swoje prace: tym tylko sposobem dokonywają się wielkie dzieła. Szkoda więc byłaby, żebyś zeszedł bez następcy i bez zostawienia śladu twojej pracy i twoich wiadomości.

Niewinny mój wybieg udał mi się; tejże chwili postrzegłem w Machnickim zmianę, jakiej pragnąłem; burza uczuć ustąpiła z twarzy, została tylko po niej pewna uroczyść; z tą uroczyścią słuchał mnie cierpliwie i odpowiedział, skoro mówić przestałem:

— Obawa twoja chwalebna, ale w tym razie próżna. Następcą, mój następcą... opatrność go wynajdzie, jak mnie wynalazła. Praca też moja nie przejdzie bez śladu. Przekonam cię natychmiast.

Poprowadził mnie ku stolikowi, na którym leżała uważana¹ już przezemnie ogromna księga.

— W tej księdze — rzekł — wszystko znajdzie ten, kto będzie powołany kończyć moje roboty. Są tu dzieje moje, dzieje państwa, cała jego przeszłość i stan obecny; jest tu wątek wszystkich spraw jego, prawodawstwo, polityka, proroctwa nawet, zgoła wszystka

¹ W pierwodruku: zauważana.

mądrość mojego państwa. Nicomylny to przewodnik królów zamczyska. Nie sądź, że przywieszuję do tej księgi większą wagę niż warta, że to jest księga zwyczajna, zwyczajnie pisana. Nie sądź tak. Pisała ją pióro anioła, pod natchnieniem anioła tego zamku, który wiecznie stoi nad nim i świeci jak południe; wszystko też w mojej księdze jasne jak południe, święte jak anioł, prawdziwe jak jego obecność w tych miejscach.

— Czyja zaś ręka pisała? Czasem moja, nie zawsze moja, a często mnie nawet nie wiadoma. Oto masz dowód.

Przerzucił kikanaście kart i pokazał mi w samej rzeczy kilka charakterów całkiem odmiennych, jak żeby inną ręką pisanych, co jednak łatwo sobie wytłumaczyć bez uciekania się do nadzwyczajnych przyczyn, że obłąkaniec z tak silną wyobraźnią zdolny był w gwałtowniejszych przystępach swojej choroby albo całkiem utracić świadomość siebie, albo uważać się za osobę, której rolę przybrać mu się podobało.

— Na tem nie koniec! — mówił dalej — dam ci jeszcze ważniejszy dowód, że myślę o przyszłości mojego państwa i nie chcę zamknąć w sobie samym jego tajemnic. Przystąpimy więc do najważniejszego obrzędu.

— Dotąd byliśmy z sobą jak gospodarz z gościem, jak prywatny z prywatnym; czas już, abys mię obaczył w całej ozdobie królewskiej, poznał ostatecznie króla zamczyska. Nie myśl, żeby mnie do tego pobudzało proste przywidzenie; o nie! mam ci objawić takie rzeczy, których mi nie wolno objawić, tylko z mojego tronu, pod zasłoną królewskiej powagi, a może i pod bodźcem królewskich cierpień. Pamiętaj nadewszystko, że tym czynem dowodzę ci nadzwyczajnej mojej przychylności¹, nadzwyczajnego zaufania. Pewny jestem,

¹ W wyd. z r. 1870 brak ostatnich trzech słów.

że go nie zawiedziesz. Rozstańmy się teraz na chwilę. Przez ten czas masz wolność przepatrywać moją kronikę. Nie dziw się, jeżeli za długo zostawię cię w oczekiwaniu. Są pewne obrzędy przygotowawcze, bez których dopełnienia nie wolno mi dawać uroczystego posłuchania.

To rzekłszy, skinął ręką na pożegnanie i wszedł pod zasłonę proporców, a ja zacząłem przezierać zostawioną mi księgę.

V

HISTORJA MACHNICKIEGO

Korzystając ze względów Machnickiego, starałem się przejrzeć jego kronikę w czasie jak można było najkrótszym; byłem prawie pewny, że niedługo zostawi mnie sam na sam, przeleciałem ją więc raczej oczami, aniżeli czytałem. Mimo tego pośpiechu udało mi się zatrzymać uwagę w kilku miejscach i powziąć¹ z nich wyobrażenie o duchu całości.

Dziwna to była księga; dziwna, jak stan umysłowy jej twórcy. Taż mieszanina, co w rozmowie, logiczności i bezładu, głębokiej filozofji i obłąkania, wniosków najsurowszej rozwagi i zapędów rozkielznanej wyobraźni, cierpień urojonych i rzeczywistych, wiary w nadzwyczajne powołanie, gorzkich wyrzeczeń na świat społeczny, przecuć, widzeń, prorocत्व: często wzniosła, nieraz mądra, poezją ubarwiona wszędzie, cała jednak nie była niczem więcej, jak igraszką wyobraźni, obracała się głównie na jednym przywidzeniu i z niego rozwijała świat zarzeczywisty, życie w sferach urojenia; stąd ciemna po większej części, niepojęta dla umysłów niewtajemniczonych. Głównym jej przedmiotem były sprawy państwa, porządkiem dziennym zapisywane: znalazłeś tam prawa, postanowienia, urządzenia, protokoły narad gabinetowych, stosunki z innemi podobnego ro-

¹ W pierwodruku: *powziąć*.

dzaju mocarstwami, wojny, przymierza, traktaty; obok nich czytałeś sprawy dotyczące osoby Machnickiego, jego pożycia codziennego z ludźmi, z przyrodą; z tego względu był to rodzaj dziennika, który obejmował najdrobniejsze szczegóły życia, najmniejszą czynność myśli, przygody, uwagi wszelkiego rodzaju, pomysły, marzenia, powiastki, wszystkie prawie z niezwykajnych źródeł i dotyczące przeszłości królestwa, nawet poezje. Ale klucz do zrozumienia wszystkiego miał tylko Machnicki. Była to kronika świata, który on sam sobie stworzył z żywiołów jemu tylko wiadomych i zaludnił istotami, którym, jak pierwszy człowiek, nadał swoje nazwiska. Wszło w ten świat wszystko, co należało do obrębu zamczyńska, dało się przeczuć w jego głębiach lub miało z niem bezpośrednią styczność: ziemia, woda, skały, kwiaty, murawa, samo powietrze, wszystkie przypadłości światła i cienia, pogody i niepogody. Wszystko, aż do kropli rosy, zwało się, żyło, miało swój stosunek z całością, swoje w niej posłannictwo: wszystko związane było w ogół kraju i narodu. Ten kraj rozdrobiony był na podrzędne podziały; nieraz jeden głąz, jedno drzewo, stanowiły prowincję. Pory roku, niebieskie światła, zmiany powietrza, występowały tam jak mocarstwa przyjazne państwa Machnickiego, miały swoje nazwiska, prowadziły z nim wojny mrozem, skwarem, niepogodą, staczały bitwy wichrami, burzami, piorunami. Kości, szkielety, składały wojsko państwa i dwór królewski. Cokolwiek mogło jakiś dźwięk wydać, śpiewało mu jak muzyk, jak poeta, rozmawiało z nim; dostrzegłem w kronice niejednej pieśni, przepisanej z ust skowronka, kruka lub skrzypiącego drzewa, niejednej powieści, którą wygadał jakiś wiatr, wzdychający samotnie wśród gruzów, jakieś źródółko, szepczące¹ z kamykami, — a ten wiatr, to źródło opisane było we wcieleniu fantastycznym, wymienione po imieniu. Co tylko poeta zdoła wy-

¹ W wydaniu z r. 1870: *szepczące*.

marzyć najniwyraźniej, Machnicki odział to w kształty, ożywił, związał w jeden ogół, zamienił w świat rzeczywisty dla siebie i w ruch działania puścił. Takiego tylko mogłem nabyć pojęcia owej kroniki; raz, że miałem przed sobą tylko tom piąty, potem, że go przebiegałem z wielkim pośpiechem, nakoniec, że jeszcze i w tem tak pośpiesznem czytaniu miałem roztargnienie. Przyczyną mojego roztargnienia była dziwna scena za porpcami, widać scena wstępna do posłuchania. Dotąd nie umiem jej sobie wytłumaczyć, ale słyszałem to głośną rozmowę Machnickiego, to jęki jego przytłumione, to łoskot jakby biczowania się, to brzęk licznych dzwonek, przeplatane długą, głęboką ciszą.

Nagle rozsunęły się porpce i odsłoniły wnętrze framugi, nieznaney mi dotąd. Ściana jej była czernem powleczone; w głębi, przy samej ścianie, naprost otworu, stał krzyż czerwony takiej wielkości, że końcami ramion dosięgał ścian pobocznych, a wierzchołkiem okna, mającego tenże kształt, co dwa powyżej opisane, i umieszczonego na tejże samej wysokości. Na środku było podniesienie z wielkich gładów, gdzie stało obszerne krzesło, powleczone gdańską skórą z ledwo dojrzanemi śladami złocistych wzorów, przed krzesłem stał niewielki stolik, na nim leżał kosztur niezgrabnie wyrobiony i różga brzoźowa, po obu stronach stolika dwa krzesła mniejsze, a wszystko w smaku sprzętów, jakie dziś jeszcze widzieć można po starych naszych zamkach.

Machnicki stał między stolikiem a wielkiem krzesłem. Odziany był suknią zrobioną krojem hiszpańskim z łątek rozmaitej barwy; na głowie miał czapkę z podobnych łątek, okrągłą, spiczastą, ubraną w błyskotki i dzwonki, krótko mówiąc, taką, jaką dawniej trefnisie nosili; nadto otaczał ją na czole uwiedły wieniec z gałązek dzikiej róży. Nie mniejszą zmianę, jak w stroju,

postrzegłem w Machnickiego, obliczu. Pogodne przedtem, dobroduszne, przybrało teraz jakiś dziki wyraz gniewu, ponurej surowości, wewnętrzznego cierpienia, a nawet obłąkania, wyraźniejszego jak zazwyczaj. Ubiór zapewne niemało przyczynił się do tej zmiany, ale po większej części wychodziła ona z wewnątrz. Przykrem, niewysłowionem uczuciem przejął mię ten widok. Krzesło tak przytykało do samego krzyża, że stojący w tej chwili Machnicki wydawał się, jakby spoczywał na krzyżu. Był to widok zarazem dziko-malowniczy i pełny jakiejś bolesnej tajemniczości, zwłaszcza kiedy dodamy strój osoby i czarne tło całego obrazu.

Dał znak ręką, abym się zbliżył, i przemówił głosem zrazu uroczystym, ale widocznie przytłumionym, który wkońcu zamienił się w ton szyderczy:

— Otóż nakoniec widzisz króla zamczyska! Widzisz go w całym przepychu królewskiego majestatu, w całej nagości.

— Oto jest purpura! to korona, a tu berło! Patrz! azaliż nie królewskie? Patrz więc, i śmieję się!

To mówiąc, zaśmiał się śmiechem tak dzikim, jak tylko być może najbardziej wymuszony z bolejącej piersi, rzucił się na krzesło całym ciężarem ciała, kręcił się po niem jakiś czas, porwał miotełkę, zgrzytnął, uderzył się nią po wieńcu, jęknął głęboko, ale w tejże chwili zaczął się uspokajać, jak żeby przychodził do upamiętania, i utkwiał we mnie wzrok, więcej zdziwiony jak obłąkany, widocznie spokojniejszy.

— Jako? ty się nie śmiejesz? — mówił znowu powoli, powtórzył to samo i ucichł — a toż przecie purpura królewska, ten serdak trefnisia; a ta korona? któżby w niej poznał koronę Chrobrych? Co za hańba? co za hańba! — zasłonił oczy ręką, z pod ręki wytoczyło się kilka łez. Odślonił oczy, a na twarzy nic już nie było oprócz głębokiego rozrzewnienia.

— Ale nie moja w tem wina, nie moja. Sam się przekonasz, kiedy ci opowiem. Dlatego wprowadziłem

cię tutaj i wszystko odkryłem. Przyrzekłem ci posłuchanie królewskie: chcę spełnić moje przyrzeczenie. Siadaj i słuchaj.

Usiadłem na kamieniu zewnątrz otworu framugi, a Machnicki od tych słów zaczął swoją powieść:

— Podniosłem ci niejedną zasłonę moich tajemnic, muszę teraz powiedzieć ostatnie ich słowo. Leży w niem cała historia mojego życia. Wyspowiadam się przed tobą, jak dotąd przed nikim, jak zapewne przed nikim już spowiadać się nie będę. A robię to nie z samej potrzeby mojego serca, ale dla korzyści mojego państwa, dla dobra czyjogoś, choć on dotąd niegodny; zresztą, Bóg z nim; nie mnie dano sądzić go ostatecznie. Słuchaj więc mojej powieści. Będzie ona długa, może nieporządna, jednak nie przerywaj. Nie przerywaj mi, choćbym według ciebie najnieznośniej bredził. Nie ostrzegaj mię. Mam ja w głowie ciąg myśli mnie właściwy: tego pasma nigdy się nie puszcę. Zresztą jest coś, co mnie ostrzeże, — i dotknął ręką swojego kołpaka.

Przystawszy w tem miejscu, zamyslił się, spuścił czoło, zaczął być niespokojnym, widocznie szukał myśli, nareszcie poprawił się w krześle i mówił:

— O! ten początek zawsze mi najcięższy. Najtrudniej mi przenieść się w tę powszednią przeszłość, schwycić koniec jej nitki najtrudniej. Jest ona dla mnie jak sen coraz niewyraźniejszy; ale mam ją wreszcie.

— Trzeba ci wiedzieć, że i ja byłem kiedyś człowiekiem jak wszyscy ludzie: mężem, ojcem, sąsiadem, szlachcicem, urzędnikiem, dobrym nawet urzędnikiem; po całych dniach, a czasem i nocach, siedziałem nad rachunkami. Ja myślę, że to był sen tylko: dzisiaj nie potrafiłbym najprostszego dodania. Ale wtedy! o! wtedy nie wolano jak dzisiaj, gdzie się obróć: warjat! warjat! nie patrzano z litością, z szyderskim uśmiechem, jak na warjata, jak dzisiaj. Miałem rozum, bo byłem wa-

ratem, jak wszyscy ludzie: nie mniej, nie więcej; nie odróżniałem się od nich, uchodziłem więc za porządnie rozumnego. Wszakże powinienem oddać sobie tę sprawiedliwość, że wiecznie nosiłem w sobie zaród mojej wielkości i przeczuwałem ją i dążyłem ku niej, chociaż bardzo powoli z początku. Jakiś pociąg osobliwy, niepojęty mi dawniej, przywiewywał mię do tych murów od niepamiętnych czasów. Było to coś naksztalt przeczucia miłości, a potem... pierwszego jej objawienia się, a potem... zwarzowania z miłości.

Wymawiał to powoli, z namyśleniem się, na ostatku zdrzął, dzwonki zagrały, a -on mówił dalej:

— Nasamprzód zdaleka lubiłem patrzeć na zamek. Nie wyglądał on tak dziko, jak teraz; stał prawie cały, prawie cały zamieszkały. Wieczorami błyszczwały światła z jego okien, we dnie dymy snuły się z kominów; bramy odmykały się i zamykały; czekały psy, piał koguty; śpiewano, śmiano się, żył pełnem życiem obecności, a dla mnie... żył nadto życiem przeszłym. Miałem już wówczas widzenia przeszłości, ale jeszcze ciemne; wystarczało mi zdaleka patrzeć na zamek. Tęskniłem jednak jak do największego szczęścia, żeby w nim mieszkać, — i było coś, co mi ciągle szeptało: będziesz w nim mieszkał.

— Zdarzyło się, że musiałem porzucić na jakiś czas te strony. To oddalenie dopiero przekonało mię, że byłem zakochany w zamku. Tęskniłem za nim, jak za kochanką. Co noc we śnie go widziałem, niekiedy z całym urokiem¹ kobiecej piękności. Czy ty uwierzysz temu?

I zamilkł z widoczną chęcią, abym odpowiedział.

— Dlaczegoż nie miałbym uwierzyć? — rzekłem. Jakaż inna miłość, jeżeli nie podobna do tej, prowadzi tysiące na śmierć, dla ojczyzny naprzykład? odbiera spokojność, wesołość, rozum, życie? Tylko że napozór jej

¹ W pierwodruku: za całym urokiem.

przedmioty różne. Jeden ukochał swoje góry, drugi swoje wody, ten pałac, tamten chatkę; ale biorąc rzeczy głębiej, każdy z nich ukochał anioła, ducha swojego narodu, który mu się przedstawia zmysłowo, niby w symbolu określonym, najstosowniejszym do jego usposobień i pojęć.

W miarę jak mówiłem, Machnicki wyciągał rękę i przytwierdzał skinieniami, a kiedy skończył, uderzył w stół i zawołał.

— Mówisz zupełnie tak, jak ja czuję. Ale niestety! — zawołał znowu po krótkim przestanku — dlaczegoż tyłu jest, którzy nie czują tego ducha pod powłoką symbolu, i przywiązują się tylko ciałem do ciała. Kochają swój dom, bo ładnie zbudowany, dobrze opatrzony, wygodny, własny; kochają swoją wioskę, bo z jej dochodów mogą dobrze jeść, pięknie się ubierać, wesole życie prowadzić, robić w niej co się podoba i — miękko zasypiać; kochają swój kraj, bo kraj jest dla nich to samo, co wioska.

— Nie taką miłością pokochałem ja zamek; Bóg mi świadkiem, nie taką: bo i cóż miałem z niego lub mieć mogę dla ciała? Pokochałem go, że w nim było tyle życia, tyle szczęścia dla wszystkich, a ludzie nazwali to obłąkaniem.

Wzruszył się, dzwonki zagrały, to go uspokoiło, wrócił do powieści.

— Tęskniłem więc, i coraz mocniej. Nie mogłem przemóc owej tęsknoty, zwłaszcza że przybył jej w pomoc niepokój smutnego przecucia. Urwałem liche interesa i wróciłem. Niedarmo tęskniłem, nie fałszywie przeczuwałem.

— Zamek opustoszał, począł nawet upadać w niektórych częściach. Smutne, okropne wrażenie zrobił na mnie ten widok. Ale też odtąd jeszcze mocniej zacząłem przywiązywać się do mojego zamku; zacząłem wchodzić z nim w znajomość jeszcze bliższą¹. Dusza coraz

¹ W wydaniu z r. 1870 w ostatnich dwóch zdaniach,

wyraźniej ku niemu lgnęła; przeznaczenie ciągnęło mnie ku niemu coraz częściej. Po całych dniach przypatrywałem się jemu, całe nieraz nocę w nim przepędzałem, i nie miałem już ze strony ludzi żadnych przeszkód. Wkońcu zaznajomiłem się z najskrytszym zakątkiem. A kiedy nie mogłem być w nim albo nań patrzeć, to miałem obraz jego w głowie, jak wycisniony na mózgu. Z porządku rzeczy reszta świata poczęła mnie coraz bardziej nudzić. Nie znajdowałem już rozrywki, tylko w książkach, a między książkami jedynie w starych kronikach. Czytanie kronik robiło na mnie skutek, jaki robi na zakochanym czytanie romansów¹. Każdy szczegół dziejów, każda chwala, każda klęska, zmierzały do mojego zamku, jak promienie do jednego ogniska. Cokolwiek było pięknego w przeszłości, to go ozdobiło; co było okropnego, to zawisło jak zasłona żałoby na jego wdziękach.

— Tym sposobem zamknąłem w nim całą przeszłość, całą przeszłość² w nim uosobiłem. Ale miałem jeszcze rozum. Przynajmniej ludzie uważali mnie jeszcze za rozsądnego. Nie widzieli mojej duszy: wstydzilem się ją odkryć. Czy uwierzyłbyś temu, że się wstydzilem mojego stanu duszy? Do tego stopnia byłem kiedyś powszedni, słaby, głupi. Co gorsza, wyrzucałem sobie

widocznie przez omyłkę, opuszczono niektóre wyrazy, i powstał taki dziwoląg: *Ale też odtąd jeszcze mocniej zacząłem wchodzić w znajomość z nim jeszcze bliższą.*

¹ Zobacz Wstęp, III: *Wpływ poezji Mickiewiczowskiej.*

² W wydaniu z r. 1870, widocznie przez omyłkę, wydrukowano: »całą przyszłość«. Trudno przypuścić, żeby sam poeta świadomie dokonał tej zmiany, gdyż sprzeciwia się jej sens całego poprzedzającego ustępu. Wprawdzie o parę stron niżej Machnicki powiada o sobie: »*Jak na dłoni ujrzałem całą moją przeszłość, objąłem ją jednym spojrzeniem, a całą przyszłość w jednej tylko postaci, w postaci zamku,*« ale odnosi się to do innej chwili, już po przełomie, który w nim nastąpił, i nie chodzi tu o przeszłość i przyszłość narodu, ale własną Machnickiego.

meraz to uczucie, walczyłem z niem, chciałem je zniszczyć. Na szczęście moje, postanowienie to zapóźno mię napadło. Jednak wdzięczny mu jestem, ono przyspieszyło chwilę stanowczą. Opowiem ci teraz ten wypadek, najważniejszy w mojem życiu, ten triumf mojej królewskiej przyrody.

Opanowała mię właśnie jedna z chwil owego wahania się i głupiego postanowienia. Poszedłem za jej popędem i zabrałem się szczerze do moich urzędowych rachunków. Nie wiem, skąd wydobyłem z siebie tyle siły; nie wiem, jakim sposobem znalazły się jeszcze myśli nie podbite od mojej miłości, że na czas jakiś ustąpiła im zupełnie i zostawiła liczbom wolne pole. Interes urzędowy był pilny, praca trudna i długa. Przejąłem się całą ważnością mojego urzędu. Trzy dni i trzy noce pracowałem, z małemi przerwami dla jedzenia i snu. Przez cały ten czas liczbami tylko myślałem, tak, że wkońcu wszystkie myśli zamieniły się w liczby; liczby układały mię do snu i budziły, na jawie jak we śnie liczby latały przed oczyma, w którąkolwiek stronę oczy obróciłem. Nic nie słyszałem, nic nie widziałem dookoła siebie, oprócz przedmiotu mojego zatrudnienia. Aż wkońcu... pamiętam całą scenę, jakby się powtarzała w tej chwili; odtąd wszystko już dobrze pamiętam. Było to trzeciej nocy, bardzo późno, może w godzinę po północy. W okna bił deszcz ze śniegiem i wiatr przeraźliwie zawodził. Zresztą wewnątrz domu cicho, jak żeby wszystko umarło. Czulem wycieńczenie z pracy; zdawało się, że siły ostatnie mię opuszczają. Nie przedstawiałem jednak pisać, ale głoski i liczby wiły się po papierze, zrywały się z pod pióra, krążyły w oczach jak rój owadów; wiersze całe snuły się w różnych kierunkach, jak te wstążki ognia, kiedy dziecię rozżarzonem łuczywem w różne strony macha. Straciłem z oczu świecę, zgadywałem tylko jej palanie po nagłych, przykrych zmianach, to rażącego blasku w ciemność, to ciemności w blask. Naraz całe pisanie zerwało się

z papieru, uderzyło na mnie z szumem i wściekłości pszczoł rozdrażnionych¹, obsypało mię całego, wgrzyzało się w oczy, dzwoniło w uszach, osiadało na mózgu. Chciałem się porwać, — upadłem nazad na krzesło bez siły; w tej chwili zupełna ciemność zaległa pokój; powieki spadły na oczy same z siebie, jak skrzydła postrzelonego na śmierć ptaka.

— Byłoby to tylko omdlenie? Wątpię. Utraciłem siły, ale nie przytomność. Widziałem, co się dzieje, gdzie jestem. Czułem dokoła siebie i przeraźliwą ciemność i martwą ciszę uspiętego domu: deszcz ze śniegiem bił w okna, wiatr przeraźliwie zawodził. Mimo to rozpływałem się duszą w niewymownie lubym stanie jakiejś spokojności, swobody, uciechy, o których dotąd nie miałem wyobrażenia. Cóżby to było? jak sądzisz?

— Właśnie powiadają, — odezwałem się — że zwykle podobne uczucie towarzyszy omdleniu z powodu wolnego osłabienia.

— Ale czy omdlenie może zostawić tak wyraźną pamięć przeszłości i wiedzę obecnego stanu tak zupełnie? Czy można w omdleniu śnić tak jasno, żyć tak zwyczajnym życiem?

Odpowiedziałem, że tego rozwiązać nie potrafię.

— I niema potrzeby, jak dla mnie, łamać sobie nad tem głowy, — mówił znowu Machnicki — gdyż jestem pewny, że ów stan był czemś ważniejszym jak zwyczajną słabością, jak omdleniem. Wiedz o tem, że wtedy zgasł i umarł we mnie dawny człowiek, a narodził się nowy². Ciekawa to była chwila, kiedym przechodził granicę dwóch czasów, dwóch bytów. Jak na dłoni

¹ Mam przekonanie, że obraz przedstawiający »szum i wściekłość pszczoł rozdrażnionych« tak przypadł do artystycznej wyobraźni Słowackiego, iż odtworzył go — zapewne nieświadomie — w *Królu Duchu*, naturalnie z różnemi zmianami, w rapsodzie o Bolesławie Śmiałym.

² Słowa te przypominają napis z Prologu III części *Dziadów*: »Gustavus obiit... Natus est Conradus«.

ujrzałem całą moją przeszłość, objąłem ją jednym spojrzeniem, a całą przyszłość w jednej tylko postaci, w postaci zaniku, ale jakiego zanku!...

Zatrzymał się znowu, jak żeby się namyślał.

— Nie! — rzekł — gdyby mi nawet wolno było odsłonić komukolwiek ten obraz, nie znalazłbym na to wyrazów w dzisiejszym naszym języku. Dostyc powiedzieć, że kiedy ujrzałem obok niego życie moje przeszłe, wszystkie jego prace, troski, żądania, nadzieje, plany: zaśniałem się nad niem, jak nad niewinnem głupstwem, z całego serca. Ten śmiech rozległ się w mgnieniu oka tak dokoła, z taką siłą, jak żeby cały świat sobą zappełnił, jak żeby mi odpowiedział śmiech całego świata.

— Ale nie była to radość. W tym śmiechu zaczęła się nowa moja przyszłość, moja wielkość, moja męczarnia. Bo różne są rodzaje cierpienia dla ludzi. Ten z za krat więzienia musi patrzeć na niebo, wiecznie to samo dla złych i dobrych; tamten, przykuty do taczki podziemnej roboty, dźwiga dzień i noc trupa myśli, której swoje życie poświęcił; temu tortury łamią kości, nie mogąc złamać ducha; temu każą z krzyża obejmować rękami ten świat, który sercem ogarnął; temu przeznaczono każdy śmiech nieprawości bolesną łzą odkupywać; ale są inni, których postawiono światu na cel, aby szyderski uśmiech przeszył w nich każdą myśl kochającą, każde uniesienie poświęcenia, i nadto kazano im samym śmiać się z tego, co właśnie bóle śmierci przynosi. Cierpieć dla wszystkich i konać wśród śmiechu wszystkich, a często własnego, to nie lżejsze od innych tortur.

Dreszcz mimowolny całego ciała przerwał w tem miejscu Machnickiemu, ale zdaje się, że głos poruszonych dzwonek przywołał go do porządku, bo znowu natychmiast zaczął:

— Otóż, zaledwim się zaśmiał, kiedy usłyszałem dokoła siebie niby jego echo, i dźwięk, jak żeby wiatr gwałtowny zatrzęsł oknem. Otworzyłem oczy, zwróciłem się ku oknu, i ujrzałem w niem wielką światłość, niby

od pożaru, a w tej światłości postać, ubraną jak nam opisują ubiór dawnych trefnisiów, jak zresztą mnie dzisiaj widzisz, z małemi odmianami. Pojąłem wtedy, skąd pochodził śmiech i dźwięk. Nie skończyłem jeszcze tej uwagi w duchu, kiedy postać dmuchnęła ku mnie po dłoni i znikła.

— Okno zamknęło się z nowym dźwiękiem, kiedy niekiedy zagwizdało wiatrem, jak coraz dalszym chichotem, a blask, co bił przez nie, w tejże chwili zagaśił całkiem. I wszystko znowu było jak wprzód. W całym domu cichość, po ścianach pluska deszcz ze śniegiem, i świeca znów gore. Rzuciłem okiem na stół: widzę, na papierach czerwieni się jakiś listek; biorę go, zapisany; czytam, bilecik:

— Panie Machnicki! Zamek w niebezpieczeństwie. W tobie jednym jego nadzieja. Przybywaj jak możesz najprędzej. Czeka cię królestwo. Tylko spiesz się. Twój sługa i przyjaciel: Stańczyk.

— Ten list chowam dotychczas jako najdroższą pamiątkę nowego mojego życia. Jest to niejako dyplom¹ mojej królewskości. Powinieneś go widzieć.

To mówiąc, odemknął wiszący na jego piersiach medaljon, kazał się zbliżyć, i podał mi z uszanowaniem nic innego, tylko uwiędły czerwony listek², stoczony w połowie przez owady. W pozostałych nitkach włókien można było wprawdzie dostrzec jakichś fantastycznych znaków, ale nie było żadnego podobieństwa do pisma. Czuł to zapewne sam Machnicki, gdyż się odezwał:

— Pisanie to nie dla wszystkich. Trzeba być wtajemniczonym w moje państwo, żeby je odczytać; niemniej przeto pojętne dla mnie i drogie.

Oświadczyłem zupełną wiarę w to, co mówi, od-

¹ W pierwodruku: *dyploma*.

² O podobieństwie Machnickiego do Gustawa z *Dziadów* patrz we Wstępie rozdział III: *Wpływ poezji Mickiewicza*.

dałem listek na powrót, a on, schowawszy go, tak dalej prowadził swoją powieść.

— Treść listu przeraziła mnie niewymownie. Pewny byłem, że w zamku pożar: wprowadziła mnie na tę myśl niezwykła jasność, którą przed chwilą widziałem. Nie rozmyślałem długo, nie wahałem się, wyskoczyłem przez okno, wpół rozebrany, jak byłem, i biegłem do zamku pomimo ciemności i sloty. Przybywam nakoniec, nie widzę żadnej zmiany, żadnego niebezpieczeństwa. Miał-żeby to być figiel trefnisia? Chciałem się gniewać, chciałem zrazu natychmiast powrócić, ale bieg nadzwyczaj szybki wyczerpał ze mnie wszystkie siły. Nie mogłem dłużej ustać, mimowolnie padłem. W tej chwili zdało mi się, że ujrzał Stańczyka, skaczącego wierzchem murów ze śmiechem djabelskim. To zgniewało mnie do reszty. Postanowiłem zrobić figiel za figiel i nie ruszyć z miejsca, choćby mi tam przyszło umrzeć z głodu. I dotrzymałem. Dwa dni z zamku nie wychodziłem, dwa dni żadnego nie wziętem posiłku. Osłabłem na śmierć. Na drugą noc zawlokłem się do baszty, i tam postanowiłem przyjąć, cokolwiek mnie spotka. Snu nie miałem, gorączka coraz większa ciągle mnie rozbudzała; marzyłem¹ tylko, i dlatego widziałem wszystko, co się koło mnie działo. Widzieć nie mogłem², już to dla ścian, już dla nocnych ciemności, słuchem jednak byłem ciągle wśród dziwów owego czasu. Niewyraźnie, prawda, i może nie wszystko słyszałem, bo nieustające burze, wiatry, szum, ulewy, szalały, jakby umyślnem zaklęciem wywołane; ale to, co słyszałem, mogłoby rozsądzić każde ucho. Jakieś gwary, krzyki, jęki, jakiś ruch i krzątanie się całych tłumów, to znowu tętent pojedynczych kroków, to na ziemi, to gdzieś pod ziemią; ale tego wypowiedzieć niepodobna, a jeszcze może niepodobniej w to uwie-

¹ W pierwodruku: *mrzyłem*.

² Trzeba dla usunięcia sprzeczności domyślać się słowa »naprawdę«: — Widzieć naprawdę nie mogłem.

rzyć. Mnie samemu zdawało się czasem, że w tem wszystkim niema nic oprócz gwaru drzew, igraszki wiatrów, jednym słowem, zjawisk powietrza, miotanego zwycajną burzą; później dopiero przekonałem się, że to była rzeczywistość, o której wtedy nie miałem jeszcze wyobrażenia. Tylko też pamięć na słowa listu pomogła mi przetrwać ów stan nieznośny. Wiły się one ciągle pomiędzy wszystkimi myślami, a w miarę tego, jak wracały uporniej, zamieniły się w wiarę, i wkońcu zostały jedną myślą wyraźną, skupioną, potężną, która już wtedy zaczęła pokrzepiać moje siły moralne i podnosić ducha nad ciało. Obojętnie począłem na śmierć patrzeć; byłbym już umarł z myślą królewską.

— Tak nadeszła chwila, która ostatecznie miała rozjaśnić, co dotąd było jakby niewyraźnem przecuciem. Spałem, czy nie spałem, tego dobrze nie wiem, kiedy mię coś gwałtownie za rękę targnęło. Otworzyłem oczy i ujrzałem przed sobą tę samą postać, którą w oknie widziałem, jednym słowem: Stańczyka. Trzymał w ręku latarnię, mocno był pomieszany, tży nawet miał w oczach. — Wstawaj — zawołał — i chodź czempredcej. Nie mamy chwili do stracenia. Czeka cię posłuchanie królewskie. Za chwilę zostaniesz królem. — Wstawaj!

— Na te słowa uczulem w sobie znowu dawne siły. Porwałem się równemi nogami; przebiegliśmy szybko dziedziniec zamkowy, kilka pokojów, i stanęliśmy w głównej zamkowej sali. Leży ona dziś w gruzach oddawna. Później, przy sposobności¹, pokażę ci miejsce po niej. W sali uderzył mię widok nieznanym, niesłychanym. Wyobraź sobie zebranych w jeden tłum wszystkich naszych monarchów, począwszy od nieznanego nawet dziejom: z żonami, z dziećmi, z całemi rodzinami, w koronach, w purpurach monarszych, w całym przepychu mocarzy namaszczonej najwyższą władzą, w promiennym blasku tyłu imion wiecznych, w czarodziejskim uroku piękności

¹ W pierwodr. zapewne omyłka druku: *przy spokojności.*

tylu królowych. Martwe malowidło podobnego zgromadzenia jużby ci wyrzuciło duszę z kolei zwyczajnego stanu, a dopiero widzieć to wszystko żywe. Nie dziw, że można zwarzjować po takim widzeniu, nie żal zwarzjować, żeby mieć takie widzenie. Sam to przyznasz.

— Wszakże, mimo olśnienia od podobnego widoku, przelotny rzut oka wprawił mię w niespokojne podziwienie, w stan żalu, pomieszanego z przerażeniem. Wszystko tam było w niezwykajnym ruchu, na niektórych twarzach widziałeś rozpacz; stąd odzywały się męską pierśią przekleństwa, tu słyszałeś łkania kobiet; inne modliły się, klęcząc i łamiąc ręce w milczeniu. Wyobraź sobie dom w pożarze, a mieszkańcy ratują co mogą i uciekają; albo jeszcze lepiej: dom napadniony przez zbójców. Tak tam było w owej chwili. Jeden tylko mąż zdawał się panować całemu temu nieładowi. Siedział on w głębi sali, na wielkim głązie, z ponurą, ale męską rezygnacją. — Uzbrojony był dawnym rycerskim obyczajem od stóp do głów. Przy nogach leżał szyszak, otoczony koroną; opierał się¹ na wielkiej szabli, a obok miotełka brzoza. Białe miał włosy, jak puch białego gołębia, a twarz... podobną widywałem na obrazach Bolesława Chrobrego.

— Ku niemu szliśmy prosto. Ukląkłem mimowolnie przy jego kolanach; z uprzejmym wyrazem położył mi rękę na ramieniu i, pamiętam jak dzisiaj, w te mówił słowa:

— Wezwaliśmy cię, synu, w ważnej sprawie. Za chwilę porzucimy ten zamek, aby odtąd z innego już świata czuwać nad nim. Cóż robić? Jednak nie rozpaczamy; pozwolono nam zostawić następcę takiego, jakim tylko ty być możesz. I ty nim będziesz, bo naszej miłości wszystko poświęcisz, nawet swój rozum. Odtąd jesteś królem tego zamczyska.

— Zalałem się łzami uniesienia, chciałem ucałować nogi mówiącego; ale on kazał mi się podnieść

¹ W pierwodruku brak słów: *opierał się*.

i czekać skończenia obrządku koronacji. Tymczasem wymówił imię, którego ci nie powtórzę, bo jest pod klątwą wiecznego milczenia w mojem państwie¹; a na to wezwanie wystąpił jeden z tłumu królewskiego, podobny strojem do Stańczyka, i zbliżył się w głębokiem ukorzeniu²; na powtórny znak króla-rycerza zdjął z siebie cały ubiór i złożył go na ziemi. Król-Patrjarcha zarzucił mi na ramiona serdak, na głowę włożył czapkę, i mówił:

— Oto jest królewski twój ubiór. Masz go w puściźnie po najbliższym twoim poprzedniku. Z tą szatą wkładam na ciebie wszystkie cierpienia hańby; zamień ją w purpurę chwały. W twoje serce zamykam całą boleść tej chwili; czoło namaszczam łzami, które dokoła widzisz, ręce uzbrajam tą miotłką mojej łaźni³, będzie ona dla ciebie berłem i mieczem; a skronie twoje — mówił, zrywając gałąź rosnącej przy sobie dzikiej róży, — opasuję tym wieńcem jak koroną, ażeby kolce jego nie dozwalały ci zasypiać na tronie. Twojem państwem te gruzy; twoją potęgą wielkość ich przeszłości, zamieniona w boleść; twoje powołanie panować przez cierpienie wśród uciechy. Tym tylko sposobem dopełnisz królewskich powinności i zdasz twoje dziedzictwo godnemu następcy.

Chciał jeszcze mówić, kiedy nagle odezwała się przeraźliwa trąba przed zamkiem; mnie się zdawało, że pastusza, ale się omyliłem, bo na jej odgłos zachmurzył się król-rycerz i zawołał:

¹ Odnosi się to niewątpliwie do ostatniego koronowanego króla polskiego, Stanisława Augusta. Machnicki powiada zaraz potem o nim, że był »podobny strojem do Stańczyka«, chcąc zapewne w ten sposób napiętnować jego strój cudzoziemski, francuski, niepodobny do narodowego stroju dawniejszych królów polskich.

² W wydaniu z r. 1870: *upokorzeniu*.

³ Według podania historycznego, zawartego w Kronice t. zw. Galla-anonima, Bolesław Chrobry sam karał swoich wielmożów w łaźni różgami.

— A więc i goniec z ostatnią wiadomością. Wszystko już skończone. Dzieci, w drogę!

Do mnie zaś tyle jeszcze powiedział:

— Stańczyk wprowadzi cię na królestwo i jest na twoje rozkazy. Żegnaj nam, królu zamczyska, i panuj jak ci zaleciłem.

— Ledwie mogłem dosłyszeć słów ostatnich, takie narzekania podniosły się w odchodzącym orszaku. Za chwilę straciłem wszystkich z oczu. Wybiegłem w ich ślady za obręb zamku. Jakiś czas zdawało mi się, że ich widzę, że słyszę bolesne ich pożegnania. Może i tak było, ale wkrótce w miejscu pozostały się tylko skały martwe, drzewa chwiejące się silnym wiatrem i różnogłosy szum wichru. Okropna noc! mało pamiętam podobnych, a żadnej takiej.

— Działo się to w roku 1815. Cały świat zajęty był rozprawami kongresowymi¹; nic dziwnego, że tej nocy nie uważał, a ja tymczasem królem zostałem i doświadczyłem pierwszej boleści: część zamku upadła. Upadła wtedy właśnie, kiedy wybiegłem za nimi. Rozpoznałem jeszcze w skałach i drzewach oddalający się orszak, kiedy nagle zatrzęśła się ziemia, w głowie zadzwonił grzmot przeraźliwy, jak żeby piorun w ucho uderzył, a całe powietrze zabielało obłokiem pyłu tak gęstym, że ledwie mogłem oddechać.

— Długo nie mogłem kroku jednego naprzód postawić. Skoro wiatr przepędził cokolwiek kurzawę, wbiegłem wewnątrz zamku; kilka pokojów zniknęło pod gruzami. Zapłakałem, ale nie byłem winien. Tylko co zacząłem panować. Od tego to czasu jestem królem.

¹ Tak jest w wydaniu z r. 1870. W pierwodruku wydrukowano tylko: *Cały świat był zajęty rozprawami*. Stało się to zapewne wskutek wymagań cenzury poznańskiej.

Sam teraz osądź, czy mam do tego prawo, czy jestem przywłaszczycielem, królem z przywidzenia, warjatem.

— Pierwszemu tobie tak się spowiadam. Z innymi ludźmi nie wdaję się w podobne rozinowy. Nigdyby mnie nie pojęli. Patrzą na ten zamek, a nie widzą—czem on jest; widzą, jak coraz bardziej upada, a nie wiedzą, co to znaczy; zginie zupełnie, a dla nich będzie to wszystko jedno. Ani głowy, ani serca u nich. Cóż robić z takimi ludźmi? Niekiedy dam im uczuć chłostę mojej miotłki; a oni biorą to za fantazję warjata. Do tego stopnia stracili sumienie, że nie czują nawet wstydu; śmieją się z własnej hańby, z własnej obelgi, najkrwawszej, jaką człowiekowi wyrządzić można. Powiedzą tylko: Machnicki to złośliwy warjat! i na tem kończą. Bywa, że nie mogę się wstrzymać i wołam w żywe oczy: gdybyście wy mieli więcej czucia i pojęcia, Machnicki nie byłby dla was warjatem, oddaliłbyście swój rozum za jego obłąkanie. Ale te wszystkie przynówki, to groch na ścianę. Niepodobna też wykladać wszystko jak na łopacie. Zresztą, możeż być wyraźniejsze słowo, jak te gruzy? — Jeżeli one nie mają dla nich znaczenia, czegóż mają się spodziewać po brzęku słów moich?

— Poddalem się więc wyrokom i sam cały ciężar dźwigam. Sam, własną tylko myślą, podpieram te gruzy jak mogę. Ale są chwile, w których czuję, że upadnę wraz z niemi. One się powiększają z każdym rokiem, a myśl moja coraz słabsza, coraz bardziej ugina się pod ich ogromem. Każdy kamień pada na nią i robi w niej szczerbę; coraz mocniej cierpię, a coraz mniej jestem w stanie zaradzić złemu. Takie jest moje panowanie, taka moja królewskość!

Posępnie zwiesił głowę i milczał, nagle wstrząsnął dzwonekami, popatrzył wokoło, jakby przychodził do siebie po śnie przykrym, twarz jego wygładziła się uroczystą powagą, w oczach osiadła duma władzy, wyciągnął prawą rękę, jak do rozkazywania:

— Nie! — zawołał — nie upadnę ja tak łatwo. Jestem jeszcze królem. Cierpię wprawdzie, jak żaden król nie cierpiał; ale też używam, jak żaden król nie używał, wzniosłem się do najwyższej ludzkiej potęgi. Wszedłem w świat duchów, żyję z duchami, rozkazuję duchom. Dla mnie cała przeszłość jak obecna chwila. Przestrzeń tysiąca mil ogarniam jednym spojrzeniem. Dla mnie niema nic martwego w obrębie mojego królestwa. Położę rękę na głazie i czuję pod ręką bijące serce, drganie życia poczynającego się w łonie kobiety. Dotknę się ustami listka! listek oddaje mi ogniste pocałowanie miłości; gałąź ściska mię, jak dziecko, gdy je matka pieści¹. Kiedy przechodzę między różami, róże uśmiechają się jak dziewice i rzucają mi swoje kwiaty pod nogi; murawa, jak tłum ludu, uchyla głowy na mój widok. Każde źródło zaprasza mię do siebie i rozprawia mi o przeszłości nieskończone dzieje. Przed muzyką moich ptaków, które mię usypiają i budzą, niech milczą wszystkie muzyki, jakie są na świecie. Pójrzyj na te czaszki, kości, szkielety, zbroje, głązy: — to mój dwór żywy, wszystko to żywe.

— Kiedy strudzony kłopotami państwa wchodzi tu na wytchnienie, wszystko to ożywa, garnie się do mnie. Zasiadamy w koło; stare kamienie dają mi rady, rycerze gotują broń do przyszłych bitew, orzeł mierzy oczami drogę do słońca: mam przed sobą całe życie przeszłości i widzę na jej kolanach przyszłość, a dla niej zapominam o obecnej chwili, o obecnym świecie.

— Jestem król nad króle. Moje ziarno rozrośnie kiedyś na świat cały. Dlatego tak głęboko skryłem się z niem pod ziemię. O! gdybyś ty wiedział wszystkie tajemnice tego pałacu. —

Korzystałem z kilku chwil milczenia, które po tych słowach nastąpiło, i rzekłem:

— Tajemnice te nie są zapewne dla podobnych

¹ W pierwodruku: *co matkę pieści*.

mnie; ale sądzę, że mi wolno wiedzieć, co to jest ta jaskinia i jakim sposobem przyszedłeś pan do jej odkrycia?

— Dziwne rzeczy! wszak prawda, że dziwne? — zawołał Machnicki. — Mogę jednakże dać jeszcze jeden dowód mojej dla ciebie uprzejmości i uchylić poczęści zasłonę tych jeszcze tajemnic. Słuchaj więc, jak się to stało.

VI

DALSZY CIĄG HISTORJI MACHNICKIEGO

Nim przystąpimy do dalszego ciągu powieści Machnickiego, muszę tu zamieścić uwagę, potrzebną, ażeby czytelnik lepiej schwycił charakter jego obłąkania i nie kładł na mój karb wszystkiego, co go może razić w tem opowiadaniu. Dwa stany objawiały się w nim, ile razy mówił, zwłaszcza cokolwiek przydłużej. Czasem odbiegał głównej osnowy, jękał się, mieszał wyobrażenia, łapał wyrazy niewłaściwe, wpadał w powszedniość prozaiczną; było to wtedy, kiedy satyryczna wycieczka do obecnych czasów i ludzi sprowadziła go z toru ulubionych marzeń: gorzki smutek wówczas związał niejako skrzydła jego fantazji, zaciemniał jej gwiazdę. Lecz kiedy gnał pełnemi żaglami po zwyczajnym sobie poetycznym świecie, kiedy nie spotykał na drodze żadnego żywiołu, przeciwnego jemu, dusza jego wówczas była muzycznym narzędziem, doskonale wystrojonem, myśl jedną pieśnią, a słowo, z boku rzucone, rozpoczynało tę muzykę z innego tonu, nie psuło harmonji ogółu.

W tem drugim usposobieniu właśnie się teraz znajdował. Odpowiedział więc na moje zapytanie, jak żeby odpowiedź jego była koniecznym ciągiem tego, co dotąd mówił, jak żeby nie słyszał nawet mojego zapytania.

— Byłem — rzekł — zupełnie szczęśliwy. Wprowadzony przez Stańczyka na królestwo, postawiony przez niego u steru spraw państwa, puściłem je w ruch dalszy. Ale sprawy te potrzebowały mojej wszechobecności;

osiadłem więc na zamczysku, a stolicę założyłem w dwóch nietkniętych jeszcze od zniszczenia komnatach. Urządziłem je po królewsku. Zawiesiłem całe ściany ozdobami moich marzeń, obrazami dziejów, proroczymi zasłonami. Powietrze ich dyszało tylko życiem mojego świata. Kilkanaście lat, które w nich spędziłem, były jedną królewską uczcą. Myślałem, że tam skończę, pragnąłem skończyć. Stamtąd tak blisko było mi do raj: jeden krok tylko, a byłbym w raj.

— Inaczej się stało. Ostrzegło mnie o tem jakieś przeczucie. Dziwne sny, niepojęte widzenia, znaki na ziemi i na niebie, prześladowały mnie od jakiegoś czasu bezustanku, zapowiadały jakąś nadzwyczajną, stanowiącą zmianę w mojem życiu. Często wśród burzy olbrzymia głowa jak chmura kładła się nad zamkiem i liżała grzyby ognistym językiem, jak błyskawicą; niekiedy wichur wrzucił we środek poczwarną sowę i plątał jej skrzydła w mury; trzeba było widzieć, jak się po nich tłukła, aż cały zamek się wstrząsał, dopóki się nie wydobyła; trzeba było słyszeć jej wycie. W czasie piorunów dziwne jakieś jaszczurki, dłuższe od położów¹, snuły się wzdłuż murów, a przez ich skórę przezroczystą ogień przezierał, jak żeby całe ogniem były napelnione. Codziennie zjawiały się nowe jakieś gady, potwory. Słyszałeś zapewne, że w pewnych śmiertelnych chorobach ciało ludzkie już na kilka dni przed śmiercią zaczyna się rozkładać w obrzydliwe robactwo. Powiedziałbyś, że zamek był w podobnej chorobie. Przeczuwałem, bolałem, nie opuszczałem go jednak. W tym stanie doczekałem się września. Niedawno to było, kilka lat temu. Mijały już pierwsze dni jego. Dusza była coraz niespokojniejsza, zjawiska coraz groźniejsze. Ze świtem dnia jednego powstała niewidziana, niesłychana burza. Dwa

¹ *połozy* — groźne węże, potwornej długości, które według ludowych wyobrażeń leżyły się na stepach ukraińskich. Mówi o nich Trembecki w początkowych wierszach *Zoffjówki*:
»a trawa bez kosi — Pokrewne Pytonowi mnożyła połosy«.

dni trwała¹. Nie wychodziłem z zamku na chwilę. Żyłem w nim jak zwyczajnie; jak zwyczajnie układałem się do snu za nadejściem drugiej nocy. Ledwo usnąłem, posłyszałem dziwne, przeraźliwe głosy i wołanie: uciekaj! uciekaj! Obudziłem się i postrzegłem Stańczyka. Szarpał mię za rękę i wołał: chodź! chodź ze mną! Nie możesz tu dłużej zostać! — Dlaczego? — zapytałem. — Za chwilę gruzy spać tu będą.

Ścisnęło mi się serce, ale zawołałem:

— Nie! Nie pójdę. To moje królestwo, ja jego król! zginę z niem razem.

Na to Stańczyk odparł:

— Ocal się, a ocalisz królestwo. Twoje państwo większe jak myślisz. Chodź tylko za mną.

I wyciągnął mię pół gwałtem. Zaledwośmy wyszli, a moja stolica runęła. W moich oczach spuścił się na jej dach ptak olbrzymi, ognistym jak piorun wężykiem; widziałem to wyraźnie; słyszałem szum, z jakim usiadł; przygniótł ją swoim ciężarem, okrył się obłokiem kurzawy ze startych gruzów i razem z nią zniknął.

— Załamałem rękę, a Stańczyk zaśmiał się. Miałem już wybuchnąć najwścieklejszym gniewem.

— No, no, uspokój się! — rzekł do mnie z najzimniejszą krwią. — Aby dusza była, znajdzie się ciało. I czegoż tu rozpaczać? Widok wprawdzie bolesny, ale nie powód do rozpaczy. Wicher złamał tylko spróchniałą gałąź: pień drzewa nietknięty i żyje. Wszystkich gałązek nie ocalisz, samego nawet drzewa, o ile jest nad ziemią, nie zabezpieczysz przeciw zepsuciu, ale pilnuj korzenia, tam życie. Dlatego wprowadzę cię w inne mieszkanie; zamknę myśl twoją w nowe formy, bezpieczniejsze i właściwsze. Więcej zyskasz, jak straciłeś². — Chodź za mną.

— I wskazał mi to podziemie. Z czasem przeko-

¹ Jest tu alegoryczne przedstawienie ostatnich walk pod Warszawą 6 i 7 września 1831 r.

² Patrz we Wstępie rozdział: *Geneza »Króla Zamczyjska«*.

nałem się, że słusznie mówił. Jestem znowu królem, ale większym, potężniejszym, jak kiedykolwiek byłem. Prawdziwe to ziarno mojego państwa. Gdziekolwiek znajdę jego okruszynę, podnoszę ją troskliwie i składam tutaj; tym sposobem powoli zebrałem i skupiłem całe jego życie.

— Wkońcu przyzwyczailem wszystkich poddanych do nowej stolicy. Żyję pod ziemią takim królem, jak żyłem na ziemi. Sam prawie, własną pracą ubrałem to miejsce, jak widzisz. Zyskałem i to jeszcze, że jestem bezpieczny od ciekawych ludzi. Ten odsłoniiony bok jaskini tak wysoko wznosi się nad dolinę i tak jest niedostępny, że z tej strony ptaszemi tylko skrzydłami możnaby dolecieć do mnie. Te okna wyglądają na zewnątrz jak nora sowy: nikomu na myśl nie przyjdzie, żeby mogło przez nie wyglądać ludzkie oko. Mam źródło niewyczerpane, mam zapas jedzenia dostateczny, podziemnymi przechodami mogę dojść w różne strony, Bóg wie jak daleko. Niemi to rozpuszczam powoli życie powierzonego mi ziarenka, piszę kronikę i czekam spokojnie kresu moich rządów.

— Tak! spokojnie umrę. Robię swoje, i zrobię. Mniejsza o to, że dla świata jestem warjatem. Wolę to, niż być niepotrzebnym, niż być kamieniem. Ale i kamienie same nie są martwe. Przyjdź tylko z pełnem sercem do niego, to i on da ci swoje uczucie. I on ma przeszłość, życie; nie schodzi ze swojej drogi, wypełnia, co mu przeznaczono; a między ludźmi są zimniejsi, nieczulsi, niepożyteczniejsi jak kamień. Pochłonęli, strawili przeszłość, a przyszłości nie dadzą jednego tchnienia. Wszystko dla nich, nie drugim od nich. Rozbiorą ci starożytną budowę na progi do swoich nędznych lepiarek, a nie przyłożą się do nowej, wspólnej, choćby jedną cegiełką.

— Co nas to obchodzi? alboż nie mamy gdzie mieszkać?

— Wołaj do nich: ratujcie stary zamek, to pień, z którego wyrosły dzisiejsze wasze domy; bez niego nie byłoby tych waszych mieszkań; — oni ci na to odpowiedzą:

— Albo my głupi leżeć pod gruzy, żeby nas pogniotły.

— Nikczemnicy! nie byłoby gruzów, żebyście wcześniej byli pomyśleli o naprawie. Oni zawsze swoje: niech się wali, kiedy czas jego przyszedł. Niech się wali!...

— Czy wy myślicie, że będziecie na to patrzeć tak bezpiecznie, jak bezpiecznie patrzycie, kiedy pajak muchę dusi? Czy wy myślicie, że przeszłość, co go stawiała, nie myślała o przyszłości nic a nic? Wiecie wy o tej tajemnicy pewnych budowniczych, którzy zakładają swoje budowy nie na martwym tylko kamieniu, ale poświęcają duchowi opiekuńczemu najdroższe czasem głowy. Otóż przeszłość, budując, daje w zakład głowę przyszłości. Ten zamek na wasze głowy założony. Wy to będziecie kiedyś odpowiadać za byt jego. Nowemu czasowi potrzeba będzie tego miejsca na nowy budynek. Przyjdą robotnicy, zaczną uprzętać gruzy, będą je ciskać naokoło. Nie ufajcie w odległość. Jak widzisz górę zamkową, tak będą kiedyś lecieć i toczyć się z niej kamienie na wszystkie strony. Dostranie się od nich zarówno dalszym, jak i bliższym. Zrozumieją mię wtedy. Przyznają warjatowi rozum. Słowa warjata będą krążyły jak pieśń prorocza. Ale biada temu, kto lekceważy niemiłe sobie proroctwa i czeka niewierny z założonemi rękoma, aż je przyszłość rozwiąże.

— Przyszłość rozwiąże, tylko że drogo trzeba jej za to płacić. A jednak żal mi tych ludzi, wielki żal.

— Oni musieli ci inaczej o mnie nagadać, bo pewnie gadali; oni muszą mię uważać jak człowieka, który już nie ma nic wspólnego z ludźmi, najmniejszego dla nich społeczenia. Nie wierz temu, oni się mylą. Po-

wiadam ci, że codzień nad nimi płaczę, nawet śmiechem.

— Kiedy wejde pomiędzy nich, w takie naprzykład zebranie, jakie było wczoraj, kiedy spojrzę na tę młodzież, na te kobiety, na te dzieci, kiedy widzę ich szczerą wesołość, ich taką miłość dla siebie, nadzieje takie promienne, tyle przyszłego szczęścia w marzeniach, a kiedy pomyślę sobie... nagle stanął, jakby się postrzegł, że miał coś nadto okropnego powiedzieć, mimo to zmienił wyraz rozrzewnienia w wyraz dziwnie gorzkiego szyderstwa i równie z nagłą zawołał: — wtedy śmieję się im w oczy, bez żadnego względu. Niech sobie tłumaczą mój śmiech, jak im się podoba. Wszystko mi jedno. Jest to może najwymowniejsze moje słowo. Jeżeli i tego jeszcze nie pojmują, nie moja wina. Wyraźne ono dla ludzi, co mają czucie głębsze jak kołyska, wyższe jak powała sypialni, przestronniejsze jak gumno. Wyraźniejszego nie wolno mi użyć.

Na tych słowach zaszła nowa scena, która mię wprawiła w mocne chwilowe zdumienie. Machnicki był w natężeniu uniesienia, ja w natężeniu ciekawości, kiedy nagle ściemniło się; spojrzałem w okno i postrzegłem w niem rzadkiej wielkości puhacza, z rodzaju skalnych, a w tejże chwili usłyszałem kilkakrotnie grobowe jego huknienie. Machnicki porwał się z siedzenia, nawrócił ku ptakowi ucho z niespokojną uwagą, i nie bawiąc, zasunął proporce tak nagle, że nie postrzegłem się prawie, jak znowu sam zostałem.

VII

POŻEGNANIE

Ptak nie zaraz umilkł, słyszałem kilka razy jeszcze głos jego. Nastąpiła potem głęboka i długa cisza za zasłoną, przerywana tylko odgłosem dzwonek i kroków Machnickiego. Po pewnym czasie zasłona odchyliła się, i Machnicki wyszedł w powszednim już stroju.

— Daruj, daruj, — zawołał, ściskając mi ręce ze szczerą uprzejmością — że tak nagle przerwałem posłuchanie. Sprawy państwa przedewszystkiem, nieprawdaż? Oznajmiono mi ważną naradę, dziś jeszcze, wkrótce. Wszak słyszałeś tego ptaka? Nie bierz mi więc za złe, że się musimy rozstać. Sprawy publiczne przedewszystkiem. Dziś jednak czuję bardziej niż kiedykolwiek ich ciężar. Wszakże nie ostatni raz widzimy się? Spodziewam się, że odwiedzisz mię jeszcze. Przyjdź jeszcze, przyjdź jutro. Wiele, wiele mam jeszcze do powiedzenia. Co słyszałeś, to niczem jest prawie. Daj słowo, że przyjdiesz.

Na całą tę mowę odpowiedziałem z równą szczerością, że jestem wyrozumiały na powód rozstania się, że nikt nie mógłby mu wziąć za złe tej gorliwości w dopełnianiu obowiązków, że pożegnanie go w tej chwili jest i dla mnie przykre, wszakże osładza je nadzieja powtórnego widzenia się, że je przyspieszę, o ile będzie to w mojej mocy; nakoniec przyrzekłem,

że jutro znowu powrócę. Po tych i podobnych im słowach pożegnania, Machnicki zapalił lampę i odprowadził mnie tą samą drogą aż do otworu. Przy otworze miałem jeszcze nowy dowód jego dobrego serca, łatwo lgnącego, kiedy znalazł kogoś po swojej myśli.

— Odpoczniemy tu chwilę, — rzekł — zmordowałem się trochę.

Ja jednak widziałem tylko w tem chęć pochlebną dla mnie dłuższego znajdowania się razem. Usiedliśmy na wschodach. Machnicki wziął mnie za rękę i mówił głosem malującym głębokie rozrzewnienie:

— Jak mi żal! jak mi żal, że tak krótko jesteśmy z sobą — i lzy stały mu w oczach. Podobne chwile tak rzadkie są dla mnie; podobne spotkanie prawie nigdy. Wierz mi, mój przyjacielu, że tego dnia nigdy nie zapomnę; wieczniebym żałował, gdyby miał być jedynym w mojem życiu. To taka rozkosz znaleźć w tym świecie powszednim kogoś, co by cię rozumiał, któremu całą duszę otworzyć można, bez obawy sztyderstwa. Przyrzekłeś jednak, że wrócisz. Pamiętaj, wracaj: jutro, pojutrze, kiedykolwiek, tylko wróc. — Pamiętaj, że czekam, a czekanie to cierpienie, i wielkie czasem. Ale jeszcze chwilę możemy być razem.

Siedzieliśmy jakiś czas w milczeniu, przerwał je znowu Machnicki:

— Jaka szkoda, że musimy się rozstać. Nie wiem, co mnie tak przywiązuje do ciebie. Może — kto wie — może ty będziesz moim następcą? Ale ty zapewne śmiejesz się w duchu z tych marzeń szalonych i ze mnie.

Zdaje się, że ta uwaga wprawiała go w przykry stan duszy; umilkł na chwilę, zasepił się, nakoniec przechodząc w rozrzewnienie coraz głębsze, zawołał:

— Nie śmiej się, przyjacielu, nie śmiej się ze mnie. Przysięgam na najświętsze tajemnice mojej duszy, że w tem wszystkim niema nic śmiesznego.

— O! gdybyś ty mógł przejrzeć mnie na chwilę,

zobaczyłbyś, co to za przepaść smutku, a jakiego smutku! — tu lzy płynęły mu rześnym strumieniem. — Ale ty zstąpisz znowu między ludzi zwyczajnych: słońce mojego królestwa znajdzie dla twojej duszy; owionie cię morowe powietrze zimnego rozumu; usłyszysz znowu zewsząd: co to za warjat ten Machnicki, mieć się za króla jakiejś tam kupki gruzów! A ja ci powiadam, że każdy z nich w swoim domu jest takim warjatem, tylko że nie mają królewskiej duszy, królewskich moich uczuć.

— O! gdyby je mieli, gdyby każdy z nich był Machnickim na swoim miejscu, wiesz, co by nastąpiło? powiem ci pod wielką tajemnicą: wkrótce powstałby jeden ogromny, nieśmiertelny król — miliony¹. Zapewne nie słyszałeś jeszcze o tej dynastji? A tymczasem ona to jedynie odwiecznie tu panuje. I ja i podobni mnie byli tylko chwilowymi jej namiestnikami; ale pan prawdziwy to ona: była nim i będzie.

— O! będzie. Wiem to dobrze. Ale nie przez tych, których mieszkania widzisz dokoła po dolinach, mieszkania porządne, wykwintne; nie! nie przez tych — a sami temu winni; ale sama przez siebie, jak jest Bóg przez Boga. A wtedy kochani moi sąsiedzi, co się dzisiaj ze mnie śmieją², zapłaczą nad sobą; sami nazwą siebie, jak mnie dziś nazywają, ubiorą się sami w moją purpurę, w moją koronę, ale zapóźno: co dzisiaj zasługą, potem będzie karą. Moja i podobnych mnie rola skończy się; moje tronowe ozdoby wyjdą z mody; nowy król będzie olbrzym, weźmie suknie stosowne do swojego wzrostu. Słońce mądrości i chwały milionów będzie

¹ W pierwodruku czytamy tylko: *powstałby jeden ogromny, nieśmiertelny król*. W wydaniu z roku 1870 Goszczyński, chcąc rozwiązać zagadkę zawartą w tem powiedzeniu Machnickiego, do wyrazu »król« dodaje słowo: »miliony«, mając naturalnie na myśli wszechwładztwo ludu polskiego.

² W wyd. z r. 1870: *co się dzisiaj ze mnie tak naśmiewają*, poczem bezpośrednio: *ubiorą się sami i t. d.*

jego koroną, przy niej reszta będzie wyglądać jak moja czapka.

— A wiesz, kiedy to przyjdzie? Na wszystko są znaki, ostrzeżenia.

— Zjrzyj do ewangelji. Chrystus dopiero wtedy zmartwychwstał Bogiem, kiedy ciało jego umarło¹. Wszak tak? Resztę sam sobie wytłumacz. Ty jeszcze zobaczysz to wszystko. Część tej korony dostanie się i tobie; będzie ona tak wielka, że wszystkie głowy nakryje. Ja skończę w tej, w której cierpiałem. Ja już tylko na grób pracuję: o grób was tylko proszę. Niechaj nim będzie kupa tych gruzów, ta góra. Nie potrzeba żadnych napisów. Kto popatrzy, zaraz pozna, co w niej leży: gruz olbrzymiej myśli. Z tą myślą umrę spokojny.

— Robiłem, co mogłem; nie mogę więcej. Bóg mi świadkiem, że nie mogę. Powiedz-że sam, czy mogę? Może wiesz co jeszcze? Powiedz, a zrobię.

Milczałem, odpowiedziałem lżą serdecznego wzruszenia. I w rzeczy samej, można poświęcić więcej nad to, co Machnicki poświęcił? Można więcej cierpieć?

— Ale ja cię nudzę za długo, a przytem obo-

¹ Porównanie narodu polskiego do Chrystusa, który umarł i zmartwychwstał, jest tu niewątpliwie echem ostatnich ustępów *Książki Narodu Polskiego*, tych mianowicie:

»I umęczono Naród Polski i złożono w grobie, a królowie wykrzyknęli: zabiliśmy i pochowaliśmy wolność.

»A wykrzyknęli głupio...

»Bo Naród Polski nie umarł; ciało jego leży w grobie, a dusza jego zstąpiła z ziemi, to jest z życia publicznego, do otchłani, to jest do życia domowego ludów cierpiących niewolę...

»A trzeciego dnia dusza wróci do ciała i Naród zmartwychwstanie i uwolni wszystkie ludy Europy z niewoli.

»I przeszło już dni dwa; jeden dzień zaszedł z pierwszym wzięciem Warszawy, a drugi dzień zaszedł z drugim wzięciem Warszawy, a trzeci dzień wnidzie, ale nie zajdzie«.

wiązki moje. Sam przyznasz, że obowiązki przede-
wszystkiem.

— Żegnam cię więc jeszcze raz, do widzenia. Do
widzenia! pamiętaj, mój przyjacielu, mój bracie!

Uścisnęliśmy się z całego serca; głaz otworu pod-
niósł się; wyskoczyłem szybko, głaz upadł; usłyszałem
jeszcze głuche westchnienie Machnickiego, jak z grobu,
potem cichość dokoła i gruzy.

VIII

ZAKOŃCZENIE

Sam tedy byłem wśród gruzów. Nie byłem sam. Cały czas spędzony w podziemiu zaległ pamięć, stał przed duszą, jak sen wprawdzie, ale jak sen bardzo wyraźny. Gdzie się zwróciłem, widmo Machnickiego zastępowało mi drogę; głos jego ciągle brzmiał w uszach; cała mowa jego, wcielona w postacię żyjącą, fantastyczne, krążyła po duszy rojem marzeń dziwnych, gorzkich, coraz posępniejszych. Usiadłem na gruzach, pojrzałem po okolicy, a cała okolica wydała mi się, jak żebym patrzył na nią okiem Machnickiego, puściejszą, bardziej martwą jak gruzy, wśród których spoczywałem. Ścisnęło się serce, łzy mimowolne stały w oczach, bolesne szyderstwo lechtało we wszystkie uczucia, myśli urągania chwiały głową.

O nędzo czasów! — mówiłem do siebie — i taki człowiek jest dla reszty świata niczem więcej, tylko warjatem? Świat go wyszydza, wytrąca z pośrodku siebie, plwałby na niego, gdyby go nie sądził godniejszym litości, jak pogardy; już to najmniej, kiedy go ma za nic. A tymczasem ten obłąkaniec czuje i myśli, jak nie czuje żaden z litujących się nad nim, jak nie myśli żaden z tych, co się mają za rozumniejszych od niego.

Oni rozumni, a on warjat! A on jednak pojął myśl, której oni pojąć nie mogą, i całe swoje życie stosuje do niej, i każdy krok jego jest jej koniecznością nieodpartą. Na chwilę nie zboczy z tej drogi; logiczność

jego aż w okropność wpada, mimo to idzie wciąż dalej. Obrął sobie zawód, przyjął powołanie, i nie wykroczy przeciw niemu, aż cały puchar do dna wychyli.

Taki obłąkaniec nie powinien-że być wzorem dla tłumy owych bardzo rozumnych? nie więcej-że on wart od nich? I dlaczegóż to wszystko robi? POCO to życie samotności, męczarni, poniżenia? Czy dla widoków osobistych? czy marzy o jakiej nagrodzie osobistej?

Nie! pełni swoją powinność, jak drzewo rośnie, jak kwiat kwitnie, jak słońce świeci: — dla drugich, nie dla siebie. Ale w oczach powszedniego świata to właśnie jest dowodem obłąkania.

O! gdybyście wy wszyscy takiego pomieszania dostali, ludzkość byłaby mędrsza, szczęśliwsza, niż jest dzisiaj. Na korzyść pojedynczych rozumów rozerwaliście mądrość ludzkości, rozbiliście na miliony bryzgów jej słońce, rozgrabiliście jego okruchy, zniszczyliście wzajemne ich powinowactwo, a przez to odebraliście każdej cząstce jej blask i ciepło, które wzajemnem tylko zasilaniem się mogą trwać i działać: odebraliście im cały przymiot ich nadziemskości.

Wy się o to nie troszczycie: wy chcecie, aby te światła były tylko narzędziami waszych osobistych celów, aby tylko służyły waszym potrzebom, aby im tylko wystarczały, a wasze cele, wasze potrzeby są tak drobne, tak ciasne, tak poziome, że się obejdą bez niebieskiego światła i życia; ale jak długo się obejdą? zobaczymy¹.

Chciałem wyjść nakoniec z tak niemilego stanu i rozpogodzić umysł wycieczką w okolicę; zerwałem się, popędziłem bez celu między góry i lasy; ale świeża nawałnica tak popsowała drogi, rozmoczyła ziemię, że każdy krok po śliskim i grząskim błocie drażnił jeszcze bardziej wewnętrzne rozjątrzenie; wpadłem do reszty w zły humor i wróciłem do domu w nielepszym. Nie wspomniałem nikomu o mojem widzeniu się z Mach-

¹ W pierwodruku: zobaczymy.

nickim, ale zdradzałem się w każdej chwili. Przymawiałem mężczyznom, gadałem niegrzeczności kobietom, tak dalece nie byłem panem siebie, że jedna z mających prawo przemawiać do mnie poufalej zmuszona była zawołać: czy pan oszalał?

Nazajutrz zabierałem się do powtórnych odwiedzin zamczyska. Dzień był piękny, obiecywałem sobie, że dla mnie będzie rozkoszny. Inaczej się stało. Odjechałem w stronę całkiem przeciwną, na zawsze. Po Machnickim wspomnienie mi tylko jednego dnia pozostało.

Gdyby los od mojego życziwszy dał komu w ręce kronikę Machnickiego, niech ją nam ogłosi, przynajmniej w wyjątkach. Sądząc z tego, co czytałem, z tego, co wiem o jej twórcy, mogę naprzód zaręczyć, że będzie to dzieło rzadkiej poezji, a przytem pełne wielkich, nowych i pożytecznych pomysłów, chociaż ubarwionych fantazją obłąkańca; bądź co bądź, jedyne w swoim rodzaju.



TREŚĆ

	Str.
WSTĘP	3
I. Życie i twórczość literacka Goszczyńskiego	4
II. Geneza <i>Króla Zamczyska</i>	22
III. Wpływ poezji Mickiewiczowskiej	32
IV. Strona artystyczna <i>Króla Zamczyska</i>	39
V. Goszczyński i Matejko	44
Biblijografia	51
KRÓL ZAMCZYSKA	53

85